Rok IX. Nr. 3.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Lipiec.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1903.

TREŚĆ ZESZYTU.

Konferencya O. Generała Antoniego Fiat.

O zachowaniu się wśród prześladowań, jakich Kościół i zakony doznają obecnie we Francyi.

Odkładając na później dokładne sprawozdanie z tego, co obydwa Zgromadzenia Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia ucierpiały i utraciły w strasznej burzy religijnej, jaka się obecnie sroży nad Francyą, podajemy poniżej za francuskimi „Rocznikami“, konferencyą O. Generała. Dotychczas rząd francuski zajmował się Zgromadzeniami nie autoryzowanemi; według praw uchwalonych przez większość parlamentarną, bardzo szczupłą tylko liczbę Zgromadzeń zostawiono w kraju, resztę wypędzono. Wkrótce miała wejść pod obrady parlamentu kwestya Zgromadzeń autoryzowanych, do jakich także należą obydwa Zgromadzenia Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia. O. Generał chcąc pocieszyć swą podwójną strwożoną rodzinę, a zarazem wskazać pewną i bezpieczną drogę, wygłosił dnia 9 stycznia 1903 r. konferencyę, według naszej zwyczajnej małej metody. W pierwszym punkcie mówił o pobudkach do dobrego korzystania z obecnych doświadczeń, w drugim o błędach, jakich się strzedz należy, a w trzecim o usposobieniu w tym względzie potrzebnem. Pierwszy i drugi punkt podajemy dosłownie, trzeci w streszczeniu.

Kochani Księża i Bracia!

Najlepszy sposób zachowania się w tych ciężkich czasach, jest: 1) gorliwie starać się, aby odnieść z tej próby korzyść dla duszy; 2) czuwać nad sobą, aby nie popełnić z tej okazyi jakiegoś błędu; 3) praktykować cnoty i starać się o usposobienie odpowiednie.

I. Pobudki, skłaniające nas do dobrego zachowania się w obecnych trudnościach.

Przedewszystkiem więc mamy — jak to wyżej zaznaczyłem — starać się o to, aby dzisiejsze prześladowanie wyszło na pożytek naszej duszy. A dlaczego to, kochani Bracia? Oto przedewszystkiem dlatego, że Bóg zesłał tę próbę dla naszego uświątobliwienia. Wszystko, cokolwiek się dzieje na tym świecie, dzieje się dla dobra wybranych, czy to, żeby pomnożyć ich zastępy, czy też, żeby posuwać ich naprzód w doskonałości. *Omnia propter electos.* A zatem nie ludzie według swych widoków i swego widzimisię układają wypadki i kierują nimi; oni często czynią coś, nie wiedząc nawet dlaczego. Oto i teraz, kiedy wypędzają zakony i zamykają szkoły, zdają się otwarcie sprzeciwiać myśli Bożej. Lecz bynajmniej tak nie jest; choć Bóg Najśw. potępić musi niezbożne ich dzieło, posługuje się jednak tą robotą, aby spełnić odwieczne zamiary, godne nieskończonej swej mądrości. Tak było w pierwszych wiekach, kiedy to święty Jego Kościół wydany był na pastwę wściekłości pogańskiej i odegrały się z jednej strony sceny wyuzdanego okrucieństwa, z drugiej — bohaterskiego męstwa i poświęcenia. Wtedy to niebo zaludniło się męczennikami jaśniejącymi blaskiem świętości, męczennikami takimi, jak św. Sebastyan, św. Agnieszka, św. Blandyna, św. Maurycy i wielu innych, którzy błyszczą w królestwie Bożem, jak gwiazdy na niebie. Co Zbawiciel dopuścił w pierwszych wiekach, na Kościół to samo dopuszcza i dziś dla podobnego celu i szuka mianowicie nowych mieszkańców królestwa Swego, chce pomnożyć świetne zastępy niebieskie, a nas uczynić godniejszymi dziedzictwa, które nam zachowuje. Taki więc pożytek winniśmy odnieść z tej gwałtownej burzy, a przytem pamiętajmy, że burza taka nie trwa długo.

Drugi powód, aby starać się z pożytkiem przebyć tę próbę, jest ta okoliczność, że może ona umocnić naszą duszę i ustalić ją w dobrem. *Sicut aurum in fornace probatur....* Dzisiejsze prześladowanie jest właśnie próbą ogniową dla naszych zakonów; ileż to udręczeń, ile obaw i niepokojów przynosi ze sobą; ile wymaga ofiar i poświęceń! Bóg sam raczy

wiedzieć, jakie męczarnie znosić muszą biedni zakonnicy i nieszczęśliwe zakonnice dotknięte tą burzą. Wszystkie nasze drobne ofiary, wszystkie praktyki pobożne, pochodzące z własnego wyboru, nie znaczą pewnie tyle, co te twarde doświadczenia, które zwaliły się na nas niespodzianie, wymagając zahartowanej cnoty, zaparcia się siebie od rana do wieczora, wielkiej ufności w Bogu i zdania się całkowitego na Jego Opatrzność! Nie dozwólmy, by tak dobra sposobność uświęcenia się minęła bez korzyści dla dusz naszych.

Trzecią pobudką dla wielkiej czujności jest to, że szatan, który niegdyś całą złość swoją wywarł na Jobie, a i dzisiejsze wzniecił prześladowanie, wzbudza także kusicieli. On to podburzył żonę Joba i jego przyjaciół przeciw słudze Bożemu; on także podburzył żonę Tobiasza przeciw ślepemu starcowi, aby go lżyła i bluźniła Bogu w jego obecności. Taksamo usiłuje szatan wzniecić prześladowanie przeciw ludziom cierpiącym; zsyła im więc kusicieli tak zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Przez tych kusicieli szatan poddaje im myśli przeciwne Boskiej Opatrzności i trzeba przyznać, że ma zadanie nader ułatwione. Człowiek bowiem już z natury skłonny jest do wybuchów niecierpliwości, zwłaszcza gdy widzi, że zło tryumfuje nad dobrem, że sprawiedliwi, niewinni doznają ucisków i prześladowania. Cóż dopiero, kiedy do tego wszystkiego przystępuje jeszcze szatan, który poddając człowiekowi sprzeczne myśli i uczucia, pobudza go zarazem do szemrania i buntu przeciw Opatrzności Bożej. I nas będzie djabeł pobudzał do niecierpliwości i do szemrania na naszych prześladowców; otóż musimy w takim razie powstrzymywać wybuchy niecierpliwości i nakazać milczenie namiętnościom; jestto bowiem poduszczenie szatańskie. Dalej nas będzie szatan pobudzał do złorzeczenia Bogu, jak do tego chciał nakłonić sprawiedliwego Joba i Tobiasza; chciałby panować naszym językiem, sercem i umysłem, ale nie dajmy się usidlić przeklętemu czartowi. Nie od dzisiaj to dopiero nieprawość święci tryumfy. W pierwszych wiekach Kościoła działy się jeszcze większe zbrodnie i okropności. Cóż okropniejszego

wyobrazić sobie można nad pochodnie Nerona? Strach nawet wspominać, do jakiego wyuzdania doszła wtedy złość ludzka. Teraz już nie widzimy podobnych rzeczy; tem łatwiej więc możemy powstrzymać się od oburzenia i złorzeczeń. Bóg sam dopuścił to prześladowanie i ścierpi je tak długo, dopóki nie położy mu końca. Powinniśmy zachować się wśród tej próby tak, jak troje pacholąt w piecu ognistym. Stojąc wśród buchających dokoła płomieni, zostali nienaruszeni na całem ciele, taksamo i my winniśmy przetrwać tę burzę, nie poniósłszy żadnego szwanku na duszy. Doznamy może szkody na majątku, ale mniejsza o to, dość, że dusza wyjdzie czystą i nieskażoną.

II. Jakich błędów strzedz się mamy?

Byłoby błędem uważać w obecnem położeniu tylko na osoby, które nas prześladują; przeciwnie zapomnijmy, a myślą wznieśmy się wyżej i we wszystkiem upatrujmy rękę Bożą. Osoby, któremi się Bóg posługuje, są tylko wykonawcami Jego sprawiedliwości. Nam zaś nie pozostaje nic innego, jak tylko ukorzyć się przed sprawiedliwością Jego, wysławiać Jego mądrość i miłosierdzie bez granic. Nie mniejszem byłoby złem, powziąć lub zachować urazę w sercu do osób, albo żywić nawet chęć odwetu. Św. Wincenty wyraźnie mówi, że powinniśmy w zarodku stłumiać takie uczucia: *Ab omni vindicatione aut maledictione aut etiam querela ulla in ipsos persecutores cavebimus.* A Boski nasz Zbawiciel każe nawet modlić się za prześladowców, zamiast im złorzeczyć, krytykować ich i sądzić. Oto jego słowa: *Orate pro persequentibus vos.* Prześladowcy dają nam wprawdzie powód do sądzenia ich, ale strzeżmy się tego, bo sąd zachował Bóg dla siebie. My zaś mamy znosić w cichości utrapienia tego życia, a upatrując w nich dopuszczenie Boga, polecać prześladowców Jego miłosierdziu nieskończonemu.

Po trzecie winniśmy unikać zbytniego wzruszenia i niepokoju. Po cóż nam się bowiem niepokoić, kiedy sam Bóg, który o wszystkiem ma pieczę, dopuścił tę burzę. Zostawmy raczej wszystko Bogu, zdając się całkowicie na Jego ojcowską

Opatrzność. Lecz może nas przyszłość zbyt niepokoi i trwoży? Ale precz z tą myślą, jeśli szczerze ufamy Bogu, jeśli pamiętamy, żeśmy Jego dziećmi, to nie będziemy się o nic niepokoić. Zajmijmyż się raczej obecną chwilą, która jedynie do nas należy; przyszłość należy do Boga.

Na koniec jest jeden błąd karygodny, który w obecnych okolicznościach łatwo zdarzyć się może; jest to wzajemne zniechęcanie się w rozmowach z drugimi. Błąd to bardzo niebezpieczny w Zgromadzeniu. Strzeżmy się więc pilnie wszystkiego, coby mogło osłabić ducha u osób, z któremi żyjemy. Powtarzam tu, co już zaznaczyłem w liście ogólnym na Nowy Rok, mianowicie, że Pismo św. zawsze wzywa do ufności w Bogu wtedy nawet, gdy zwiastuje nieszczęścia. Siać więc w sercach drugich trwogę i zniechęcenie, byłoby to, co działać wbrew myśli Bożej.

III. Usposobienie, w jakiem trwać mamy w obecnem prześladowaniu.

Najpierw winniśmy przejąć się szczerem współczuciem względem tych Zgromadzeń, które najboleśniej zostały dotknięte tą burzą, a w których niektóre już musiały pożegnać ukochaną ojczyznę i dopraszać się u obcych gościnnego przyjęcia. Co do mnie, to muszę oświadczyć, że los ich nieszczęsny głęboko mnie wzrusza. Wszyscy też idąc za poleceniem Pisma św. płaczmy z płaczącymi i módlmy się za te Zgromadzenia.

Drugie usposobienie, jakie nabyć mamy, to uczucie ufności synowskiej, bo jak to zaznaczyłem, Duch św. często nas do niej napomina.

Trzecie usposobienie, to częsta modlitwa, szczególniej do Najśw. Maryi i błog. naszego Ojca św. Wincentego. Powtarzajmy często przed Zbawicielem tę modlitwę, która zawarta jest w hymnie do św. Wincentego:

Tot pietatis opera — fac, Christe, semper vigeant:
Quibus haec credis munera — Ardore pari complesant.

25-letni jubileusz
Małego Seminaryum XX. Misyonarzy
na Kleparzu.

Niedawno temu 1-go lipca r. b. święciło Zgromadzenie nasze 25-letni jubileusz istnienia Małego Seminaryum, uroczystość niezwykła była w tym dniu obchodzoną. Małe Seminaryum ma za zadanie wychować alumnów swoich na dzielnych sług ołtarza Chrystusowego, na bojowników zahartowanych dla idei Bożej. Przez przeciąg 25 lat spełniło ono swe zadanie gorliwie i zaszczytnie, czego dowodem był zjazd jego wychowanków, zajmujących obecnie w Zgromadzeniu i jego pracach rozmaite stanowiska. Przegląd ten, bo tak się godzi nazwać ów jubileusz, wypadł świetnie i wykazał dowodnie, czem jest dzieło Boże i jak ono prosperuje. Wzruszającym był widok dawnych przełożonych tego instytutu, dziś już starców; pierwszych alumnów obecnie szronem siwizny już przypruszonych i tych wychowanków z Nowej Wsi, zaledwie rozpoczynających życie młodzieńcze. Wszyscy brali udział w uroczystości, bo to było święto dla nas wszystkich. By uroczystość wypadła świetnie, zwołał X. superyor Lewandowski przedstawicieli domów krakowskich na wspólną naradę, celem uchwalenia programu jubileuszowego. W szczegółach uchwalono cały przebieg uroczystości, a nadto podniesiono myśl zaproszenia profesorów świeckich, którzy albo pracują jeszcze, albo pracowali dawniej w Małem Seminaryum.

Dnia 1 lipca o godzinie 8 rano odprawił uroczystą Mszę św. X. wizytator Kiedrowski, w asystencyi XX. superyorów z Witkowa i Kaczyki. Następnie o godzinie wpół do 11 odbył się uroczysty poranek, wykonany ślicznie i wzruszająco wspólnymi siłami. Słowo wstępne na powitanie gości, wypowiedział X. superyor Ciopalski z Nowej Wsi i zaznaczył, że założyciel Małego Seminaryum ś. p. X. wizytator Piotr Soubieille w trudnem był położeniu, ponieważ środków utrzymania nie miał, lecz pełen ufności w Bogu, szukał otuchy do pracy na tem polu w kościele, gdzie ją też rzeczywiście znalazł. Rozwój Małego Seminaryum odbywał się powoli, a mimo to instytucya ta coraz bardziej się rozwijała. Obecnie co roku prawie wychodzą z niej ludzie, co zagrzewają serca i kształcą umysł.

Wprawdzie powołań po dziś dzień mało się znachodzi, bo zanadto ludzi wprzęga się w rydwan państwa i zostaje urzędnikami. U nas, dzięki istnieniu Małego Seminaryum, co roku święceni są nowi kapłani, którzy dzieło Boże dalej prowadzą. Za to powodzenie należy się najpierw wdzięczność Bogu, a powtóre ludziom dobrej woli, którzy nie szczędzili i nie szczędzą zabiegów i pracy nad wzrostem Małego Seminaryum. Po przemowie chór kleryków stradomskich odśpiewał okolicznościową kantatę z towarzyszeniem orkiestry studentów klasy V. Po odśpiewaniu kantaty wygłosił odczyt X. superyor Lewandowski, który z iście mrówczą pracą zebrał wszystkie dane i przedstawił z kolei rozwój Małego Seminaryum w przeciągu 25 lat.*)

W dalszym ciągu uprzyjemniali poranek klerycy stradomscy i studenci klasy V. licznymi śpiewami i muzyką.

Program szczegółowy poranku:

1) Wroński: „Lutnia“ (część I.), ork. z fort.; 2) Przemowa; 3) Ks. Bukowski: Kantata, chór z orkiestrą; 4) Odczyt; 5) Koschat: „Potężny bas“, następnie „Wędrowni śpie-

---

*) Nie podajemy *in extenso* odczytu X. superyora Lewandowskiego, ponieważ będzie on rozszerzony i wyjdzie jako osobna praca o Małem Seminaryum.

wacy“ (Clark); 6) Mozart: „Koncert A-dur“: *a)* Introdukcya, *b)* Menueto; 7) Nohynek: „Capriczetto“; 8) Ks. Bukowski: „Wspomnienie“, Żeleński: „Teorban“; 9) Verdi: „Trovatore“; 10) Pieśni ludowe: „Hejże ha!“, „Nie masz nad Mazura“; 11) Wroński: „Lutnia“ (część II.), ork. z fort.; 12) Przemowa.

Po wyczerpaniu programu, zakończył uroczystość przemówieniem X. wizytator Kiedrowski. W krótkiem a pełnem ognia przemówieniu zaznaczył, że zasadą prac Zgromadzenia jest cichość i pokora. Przyrównał Małe Seminaryum do ziarna gorczycy, które ma pierwiastek ognia w sobie i dlatego tak bujnie rośnie. Podobnie i Zgromadzenie rozrosło się, a członkowie jego pracują dzisiaj na misyach, w szpitalach i ławce szkolnej.

Ogień miłości Bożej mają w sobie Misyonarze i stąd są silni i Bóg dziełom ich błogosławi. Miłość bowiem jest potężną i podstawą wzrostu Zgromadzenia. W toku swej przemowy zwrócił się X. wizytator z gorącem słowem uznania do profesorów, pracujących w naszym zakładzie i podziękował im za gorliwą i sumienną pracę koło wykształcenia serc umysłów młodych alumnów.

Na zakończenie odczytał X. wizytator błogosławieństwo Ojca św., przesłane na jego ręce i list Najprzewielebniejszego O. Generała.

1. Błogosławieństwo Ojca św.

Rzym, dnia 30 czerwca 1903 r.

Z okazyi 25-letniej rocznicy założenia Szkoły Apostolskiej czyli Małego Seminaryum prowincyi Waszej, Ojciec św. błogosławi ze serca nauczycieli i uczniów, życząc, aby instytucya, tak odpowiadająca duchowi czasu, pomnażała i rozlewała z dnia na dzień na kraj swe dobrodziejstwo.

Kard. Rampolla.

2. List Najprzew. O. Generała.

Paryż, dnia 26 czerwca 1903 r.

Najdroższy konfratrze!

Dowiaduję się, że macie obchodzić uroczyście jubileusz 25-letni otworzenia Małego Seminaryum Zgromadzenia w Krakowie. Łączę się z Wami z całego serca, aby Bogu podziękować za to dzieło, które po Bogu pierwszem jest źródłem powodzenia i rozwoju prowincyi Waszej. Proszę Boga, by zlał na prowincyę wszystkie błogosławieństwa św. Wincentego, które on sam ściągnął najpierw na Clichy, a następnie na zakład św. Łazarza. Zechciej zapewnić konfratrów o najserdeczniejszym udziale, jaki biorę w radości Waszej i we Waszych modłach.

X. Fiat.

Popołudniu o godz. 4 odbyła się wycieczka na Nową Wieś, gdzie nastąpił epilog jubileuszowy. Dotychczas studenci pierwszych 4 klas Małego Seminaryum, byli tylko biernymi widzami uroczystości, teraz nadeszła kolej na ich czynne wystąpienie. Przygotowali gościom miłą niespodziankę odegraniem komedyi, pod tyt.: „Powrót nieboszczyka“. W czasie przedstawienia orkiestra studentów odegrała cały szereg pięknych kawałków.

Program: Przewodniczy p. Koutny. 1) „Fest Polonaise“, Hötzel; 2) „Die Freundschaft“ Oouvert., Berasconi; 3) „Die Vertraute“ polka-maz., Koutny; 4) „Z wystawy lwowskiej“, Wroński; 5) „Soldatenblut“ marsz, Koutny; 6) „Duch slovańsky“, Czermak; 7) „Stiefmütterchen“, Irris; 8) „Der Bettelmusikant“, Razek; 9) „Ze smuavského raje“, Czermak; 10) „Intermezzo russe“, Franke; 11) „Hasicska“ (Malik“); 12) „Reunion“, Marschal; 13) „Galop do Hawełki“.

Z całej uroczystości wynieśli goście miłe wspomnienie, oraz pokrzepienie na duchu. Cicha i zbożna praca dla Jezusa, wydała owoc; oby i nadal Zbawiciel błogosławił rozwojowi Małego Seminaryum.

Jubileusz Siostry Pauliny Kuleszy.

Dom Sióstr Miłosierdzia przy szpitalu św. Wincentego we Lwowie, obchodził w miesiącu czerwcu niezwykłą uroczystość, bo jubileusz 50-letni powołania, przełożonej tego domu Siostry Pauliny Kuleszy. Jubilatka pragnęła gorąco, ażeby ta uroczystość odbyła się cicho, bez żadnych manifestacyj zewnętrznych; cnoty jednak tej prawdziwej Siostry Miłosierdzia nie pozwoliły na to ukrycie, bo zresztą „sprawy Boskie objawiać i uznawać poczciwa rzecz jest“ powiedzieć trzeba z archaniołem Rafaelem (Tob. XII. 7). Czyjeż zaś życie więcej było podobne do życia Tobiasza, grzebiącego umarłych i inne uczynki dobre spełniającego, jak nie tej, która dla miłości Pana Jezusa wyrzekła się wszystkiego, co świat miał dla niej ponętnego, ażeby poświęcić wszystkie siły, wzorem Pana Jezusa, św. Wincentego, dla usługi maluczkich! Dlatego też echa uroczystości jubileuszowej rozbrzmiały szeroko po wszystkich domach Sióstr prowincyi naszej i domach Misyonarzy, a nawet oddźwięk znalazły w naszych dziennikach.

Obchód jubileuszowy zaczęły nasamprzód „Dzieci Maryi“, pragnące wyrazić swoją cześć i wdzięczność dla swej długoletniej dyrektorki. Opis tego obchodu znajdujemy w *Gazecie Narodowej* Nr. 108 z dnia 12 maja b. r. i przytaczamy dosłownie:

„Że praca i zasługa coraz więcej znachodzą uznania, dowodem tego tak częste święcenie jubileuszów, w których

społeczeństwo składa hołd wdzięczności swoim wybitnym pracownikom, na różnych wydziałach społecznych i artystycznych.

Wśród różnych rozgłośnych imion i obchodów, odbył się wczoraj w mieście naszem jubileusz tak cichy i skromny, jaki ciche, skromne i ukryte życie i praca jubilatki, z nazwiska i osobiście znanej tylko bliższym, a całemu światu znanej jedynie z godła Chrystusowego, pod którem służy, znanej jedynie ze czci pełnego miana: Siostry Miłosierdzia.

Przełożona lwowskiego Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo, Siostra Paulina Kulesza, obchodziła wczoraj 50-cioletni jubileusz złożenia ślubów zakonnych, wyrzeczenia się wszystkiego, co świat daje lub dać obiecuje, czem nęci i pociąga, a oddania się na usługi najbiedniejszych i najnieszczęśliwszych, chorych i opuszczonych, w Imię Chrystusa Pana, w imię miłosierdzia.

Pięćdziesiąt lat takiej pracy, cichej, łagodnej, kojącej ból i cierpienie, w ukryciu, w zatarciu prawie własnej osoby, takiego oddania wszystkiego drugim, a niepragnienia niczego dla siebie, takiego odważnego wchodzenia wszędzie, gdzie śmierć i zaraza — to prawdziwa zasługa, przeważająca z pewnością, jeśli nie w oczach świata, to w oczach Boga, niejedne głośne, sławne lub za wielkie, uchodzące czyny.

To wzniosłe powołanie wypełniła w zupełności Siostra Paulina Kulesza, pracując przez pięćdziesiąt lat niestrudzenie na tej Bożej niwie. I mimo sędziwego wieku, zdrowa i zawsze czynna, mając przytem jako przełożona Zgromadzenia tyle spraw i interesów administracyjnych na swojej głowie, wszystkiemu podołać i zadość uczynić potrafiła, a swoją zapobiegliwością i staraniem zdołała pomnożyć majątek zakładowy, skutkiem czego większa liczba ubogich i chorych pomieszczenie i ulgę znaleźć tam może.

Bez jej wiedzy i woli urządziły jej wczoraj „Dzieci Maryi“ wraz ze Siostrami w sali jednego z zabudowań klasztornych, udekorowanej pięknie świeżymi kwiatami, dywanami i zielenią, owacyę. Naprzód odegrano krótki sceniczny obrazek

symboliczny, zastosowany do okoliczności, potem nastąpiła przemowa jednej z „Dzieci Maryi“ do jubilatki i ofiarowanie jej bukietu, dalej śpiewy i deklamacye o bardzo wzniosłym nastroju, a wreszcie małe dziewczynki deklamowały i podawały kwiaty wzruszonej zacnej jubilatce. Całość sprawiała miłe, poważne i rzewne wrażenie“.

Główne jednak uroczystości odbyły się w dniach 12 i 16 czerwca.

Dzień 12 czerwca obrał J. E. Najprzew. X. arcybiskup Bilczewski, pragnąc dać wyraz swej czci, jaką posiada dla dzieł św. Wincentego wogóle i w szczególności dla Czcigodnej Jubilatki. W tym dniu przybył Najprzew. X. metropolita ze Mszą św. o godz. 7. Kaplica św. Wincentego była ślicznie na ten obchód przystrojona. Złożyły się na ornamentacyę przedewszystkiem dary różnych domów siostrzeńskich i śliczny dywan, ofiarowany przez XX. Misyonarzy z domu św. Kazimierza. Podczas Mszy św. Najprzew. X. arcybiskupa, przy której asystował Czcigodny X. Kiedrowski, wizytator XX. Misyonarzy i dyrektor Sióstr Miłosierdzia, chór stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ wykonał kilka pieśni bardzo pięknie. O godz. 8 odprawił Mszę św. śpiewaną X. Józef Gaworzewski, rektor Małego Seminaryum. Kaplica zabieliła się od kornetów Sióstr, które z różnych domów lwowskich poschodziły się, ażeby podczas nabożeństwa podziękować Bogu za łaski udzielone jubilatce, podczas 50 lat pracy jej w Zgromadzeniu. W tymże dniu popołudniu odbył się wieczorek siłami członków „Dzieci Maryi“ na cześć Siostry jubilatki. Najprzew. X. arcyb. metropolita zaszczycił także swą obecnością zebranie popołudniowe. U wejścia przyjęli J. E. X. arcybiskupa XX. Kiedrowski i superyorowie domów lwowskich wraz z Siostrą Pauliną. U drzwi domku ogrodowego, gdzie „Dzieci Maryi“ odbywają swoje zebranie, przyjęły X. arcybiskupa Bilczewskiego dziewczęta ubrane w bieli z liliami w ręku i ze śpiewem kantaty powitalnej wprowadziły go do gustownie przyozdobionej kaplicy. W środku wśród lasu zieleni i kwiatów wisiał transparent z monogramem Czcigodnej Jubilatki, a pod nim napis: „Niech

żyje!“ Kaplicę zamienioną na salę, wypełnili XX. Misyonarze obydwóch domów. Był obecny także X. prałat Twardowski, który umyślnie z Tarnopola na tę uroczystość przybył, X. kanclerz Bilski i wielu innych. A nadto przybyło wiele Sióstr z domów lwowskich.

Program wieczorku był następujący:

CZĘŚĆ PIERWSZA: „Sen dziecka Maryi“, obrazek sceniczny; Śpiew, ułożony przez jedną z „Dzieci Maryi“: „Na cześć Jubilatki“; Przemowa „Dziecka Maryi“ do „Jubilatki“; Śpiew: „Niech żyje nam!...“; Przemowa małej dziewczynki; Śpiew: „W dniu tak miłym...“; Deklamacya: „Święty Franciszek i słowik“; Śpiew: „Radosny brzask“; Deklamacya: „Pacierze“; Śpiew: „To głos wdzięczności...“; Deklamacya: „Poziomeczka“; Śpiew: „Z pełności uczucia...“; Deklamacya: „Krzyż dzieweczki“.

CZĘŚĆ DRUGA: Żywy obraz: „Jubilatka dzisiejsza 50 lat temu“; „Święta Dorota“, obrazek dramatyczny.

CZĘŚĆ TRZECIA: Śpiew: „Na cześć JE. Najprz. X. arcybiskupa Bilczewskiego“; Przemowa „Dziecka Maryi“ do JE. Najprz. X. arcypasterza; Śpiew: „Niech żyje nam!...“

Całość wypadła wspaniale, dzięki niestrudzonej pracy i zabiegów Siostry Anieli Torońskiej, która łożyła wszystkie starania, ażeby obchód wypadł godnie tak uroczystej chwili. Po wyczerpaniu programu zabrał głos Najprzew. X. arcybiskup i wyraził solenizantce swoje życzenia. Wspomniał, że podczas Mszy św., którą odprawił na Jej intencyę, dziękował za łaski Jej udzielone w Zgromadzeniu przez szereg lat 50 i za to, że tak umiała spożytkować te dary serca i umysłu dla biednych i dla wszystkich nieszczęśliwych. „Dziecię Maryi“ podziękowało X. arcypasterzowi serdecznie za owacyę, urządzoną tej, która tak troskliwie stara się o rozwój wszystkich dzieł szlachetnych, a zwłaszcza miłosiernych. Wyraził X. arcybiskup zadowolenie z rozwoju Stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ i wezwał gorąco, ażeby za wzorem św. Stanisława Kostki, kochały szczerze Maryę. Potem X. arcybiskup poroz-

mawiał łaskawie z wszystkiemi dziećmi, które brały czynny udział w urządzonym wieczorku i rozdał na pamiątkę obrazki.

Dnia 16 czerwca uroczystość miała charakter więcej rodzinny. Zjechało na ten dzień nasamprzód wielu Misyonarzy, którzy chcieli uczcić jubilatkę za miłość szczególną, jaką otaczała wszystkie dzieła misyonarskie. Każdy nowy dom Misyonarzy, świeżo powstający, doznawał jej pomocy, na jaką ją tylko stać było. Przybyli na tę uroczystość XX.: Lewandowski i Kryska, superyorzy domów krakowskich; X. Słoniński, superyor z Kaczyki; X. Rożek, przełożony domu w Sokołówce i X. Wilhelm Wrodarczyk, superyor z nowo założonego domu w Białym Kamieniu. Ze Sióstr zaś przybyły: przełożona z Krakowa ze szpitala św. Łazarza S. Świętorzecka, S. Zaręba z Maryampola, S. Szafrańska ze Załoziec, a przedewszystkiem pospieszyła na tę wyjątkową uroczystość Czcigodna Siotra wizytatorka Juhel.

Rano o godz. 7 odprawił Czcigodny X. wizytator Kiedrowski uroczystą Mszę św., z asystą XX. domu św. Kazimierza. Kaplica odświętnie przystrojona, zapełniła się po brzegi Siostrami domowemi i innych lwowskich domów. Na chórze śpiewały znowu Dzieci Maryi.

O godz. 9 zebrali się XX. Misyonarze obecni, ażeby jubilatce złożyć swoje życzenia. W imieniu wszystkich przemówił X. wizytator Kiedrowski, zaznaczając, że uroczystość jubileuszu złotego, to uroczystość samych aniołów, którzy także mają za zadanie posługiwać Bogu. Następnie przedstawił szereg prac około biednych po szpitalach, zwłaszcza u św. Wincentego we Lwowie, przez przeciąg lat 40. Kreślił własnemi wspomnieniami poświęcenie Czcigodnej Siostry jubilatki dla chorych w czasie cholery, grasującej w sposób zatrważający we Lwowie w r. 1800. Wspomniał o pracy nad dziećmi, której oddawała się z poświęceniem S. Paulina po różnych domach w prowincyi: u św. Łazarza w Krakowie, w Bursztynie, na Janowskiem i u św. Kazimierza we Lwowie. Wspomniał dalej X. wizytator o różnych pracach i dziełach, jakie w jej domu od szeregu lat znajdują opiekę i pomoc,

jak stowarzyszenie „Dzieci Maryi“. „A wszystko to sobie uprzytomniam — powiedział X. wizytator — nie, żeby zjednać Ci Szanowna Siostro, chwałę u ludzi, bo tą dawno wzgardziłaś, ale żeby wielbić Boga, że dał Ci łaskę przez tak długi czas do wykonywania tak szlachetnych dzieł dla chwały Jego“.

Popołudniu o godz. 3 zebrały się Siostry domowe, ażeby złożyć przełożonej powinszowanie z okazyi tak miłej uroczystości. Po odśpiewaniu kantaty, powinszowanie imieniem Sióstr składała S. Aniela Torońska. Poczem jeszcze odśpiewały Siostry pewne śpiewy i zakończyły składanie życzeń odśpiewaniem „Niech żyje nam!“ Przyczem złożyły Siostry od siebie śliczny i bardzo gustownie wykonany kielich, wyrób zaszczytnie znanej firmy Wyporka we Lwowie.

O godz. wpół do 4 zebrali się goście, ażeby być świadkami wieczorku, który „Dzieci Maryi“ powtórzyły z tymsamym drogramem, co dnia 12 czerwca. W końcu przedstawienia jedno z „Dzieci Maryi“ podziękowało X. Kiedrowskiemu, że zaszczycił swoją obecnością ten wieczorek, który urządziło stowarzyszenie „Dzieci Maryi“ na cześć swej dyrektorki. Przypomniała przytem, że stowarzyszenie to przy domu św. Wincentego we Lwowie, jemu zawdzięcza swój początek i rozwój. Druga zaś równie piękną przemową uczciła obecną Matkę wizytatorkę. Miłą niespodzianką dla obecnych było krótkie przemówienie po francusku maleńkiej dziewczynki, skierowane do Matki wizytatorki. Piękny wieczorek, który zgromadził ogromną liczbę Sióstr ze Lwowa i innych osób, zakończył przemową do „Dzieci Maryi“ X. wizytator Kiedrowski, zachęcając je, ażeby pod opiekuńczemi skrzydłami Czcigodnej Siostry Jubilatki utwierdzały się w czci do Najśw. Maryi Panny przez pełnienie cnót Najśw. Bogarodzicy najdroższych.

Wszyscy uczestnicy uroczystości jubileuszowej, wynieśli jak najmilsze wspomnienie, a życzą Czcigodnej Jubilatce doczekania dyamentowego jubileuszu!

Ocean Atlantycki, dnia 13 czerwca 1903 r.

Kochany Księże Konfratrze!

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Okręt uniósł nas już daleko od Europy. Napróżno sili się oko dopatrzeć w oddali lądu — wokoło nas nic tylko woda i woda, fale piętrzą się i znowu spadają, a okręt mknie coraz dalej, ale tak spokojnie, że się zdaje, jakoby stał nieporuszony, tylko spienione fale ze szumem ustępują olbrzymio zbudowanej „Amazonce", która nas unosi po szerokiem morzu.

Kiedyś marzyłem o tem, by choć zobaczyć morze, bom nie śmiał przypuścić, że na okręcie spędzę kilka tygodni; dziś spełniły się życzenia lat młodzieńczych, dziś oka nasycić nie mogę cudnym widokiem, co się roztacza wokoło. Teraz tylko chodzę po pokładzie, przypatruję się pieniącym się falom i myślę o Krakowie, który opuściliśmy przed przeszło trzema tygodniami.

Oj, bo też długa była tułaczka nasza, nim stanęliśmy w Bordeaux, u celu naszej podróży lądowej, wyczekując okrętu, któryby nas przewiózł do Ameryki południowej.

Wiele miał do opowiadania Homer o tułaczce Odysseusza, a Wirgiliusz osnuł długi poemat o podróży Eneasza, to też i ja chcę kochanemu księdzu opowiedzieć to wszystko, cośmy widzieli na lądzie i morzu i co jeszcze zobaczymy w ciągu podróży naszej. Myślę sobie, że niejedno zaciekawi, bośmy doprawdy wiele widzieli, a opisać to wiernie, choć pobieżnie tylko — oto zadanie moje. Proszę nie dziwić się

licznym usterkom, bo pisać na okręcie, który się chwieje i kołysze nieustannie, to trud nie mały.

Czas oznaczony do wyjazdu zbliżał się prędko. Kiedyś lata całe czekałem na wyjazd do Ameryki, teraz dwa tylko dni pozostały nam do pożegnania się z konfratrami. Przyszli wszyscy na Kleparz w niedzielę 17 maja, by wspólnie pożegnać się z nami.

Gdy X. Lewandowski w imieniu wszystkich, żegnając nas, życzył nam pomyślności i błogosławieństwa Bożego w podróży i przyszłej pracy naszej, po raz pierwszy żal się zrobiło opuszczać Kraków i życzliwych konfratrów, bo zresztą X. Superyor nie krył przed nami, że nie jedziemy na spoczynek, ale ciężkie czekają nas trudy i walki. Po raz pierwszy — zaznaczył — prowincya nasza wysyła pracowników na bardzo rozległe pole pracy w Brazylii, dokąd tysiące naszych rodaków poszło szukać chleba, a teraz opuszczeni, tęsknią za krajem rodzinnym, gdzie im lepiej było, łakną chleba duchownego, a nie masz, ktoby im go łamał. To więc chyba tylko zazdrościć im, że ich Bóg pierwszych powołał do tak szczytnego dzieła i Boga prosić, by później puścić się w ślad za nimi.

Popołudniu pożegnaliśmy się z konfratrami na Nowej Wsi, a nazajutrz urządzili nasi klerycy na Stradomiu wieczorek na nasze pożegnanie. X. Kryska, dopiero co zamianowany Superyor tegoż domu, okazał wymownie, jak bardzo go cieszy misya amerykańska. Serdeczność i gościnność, której doznaliśmy na Stradomiu, pozostanie nam na zawsze miłem wspomnieniem, zapał zaś, który widzieliśmy wśród naszych kleryków dla sprawy amerykańskiej dodawał nam tylko otuchy, by iść naprzód i torować im drogę.

Wiele jeszcze pracy czekało nas na Kleparzu; na gwałt trzeba było pakować różnego rodzaju rzeczy, co nas zajęło do późna w noc, bo już nazajutrz mieliśmy odjechać pierwszym pociągiem na Wiedeń.

Nadszedł wreszcie dzień 19 maja. Nie zapomnę nigdy, co uczułem wtenczas, gdym odprawiał ostatnią Mszę św. na

Kleparzu przed ołtarzem Matki Najśw. Przypada na ten dzień św. Celestyna, papieża, który się zrzekł godności papieskiej, by tem swobodniej pracować nad zbawieniem duszy swojej. Zdaje się, że słowa Ewangelii św., którą Kościół św. czytał w tym dniu i do nas się odnosiły. „*Domine, ecce nos reliquimus omnia, quid ergo erit nobis* — Panie, oto opuściliśmy wszystko, cóż więc za to otrzymamy? tak w tej Ewangelii św. mówi św. Piotr apostoł, do Zbawiciela. Za przykładem św. Piotra i my opuszczamy wszystko, kraj rodzinny, rodziców i konfratrów, puszczamy się w kraj daleki, pytamy więc, jak św. Piotr: *quid ergo nobis erit?* — cóż za to otrzymamy? Jeżeli tejsamej spodziewać się będziemy mogli nagrody, co św. Piotr, szczęście nasze będzie zupełne, powiada bowiem Zbawiciel: *vos, qui reliquistis omnia, centuplum accipietis et vitam aeternam possidebitis*, którzyście opuścili wszystko, sto razy więcej otrzymacie i nadto żywot wieczny. Za krótkie trudy i chwilową pracę płacić nam będzie Zbawiciel błogosławieństwem i chwałą niebieską, a my nadto jeszcze tę błogą żywimy nadzieję, że opuszczeni rodacy w Brazylii, po Bogu i nam zbawienie swoje zawdzięczać będą.

Wzmocnieni i na duchu podnieceni słowy Ewangelii św., wybraliśmy się zaraz po Mszy św. na kolej. Do portu Bordeaux obraliśmy drogę na Wiedeń, Monachium i Paryż.

Kilku konfratrów odprowadziło nas na dworzec i ten ostatni dowód ich dobroci i życzliwości był nam bardzo miły i złagodził naturalny żal, który przy każdem pożegnaniu serce ściska.

Dziwnym zbiegiem okoliczności były na dworcu także Siostry Felicyanki, które wyjeżdżały do Bośni, gdzie im już przedtem przygotował miejsce O. Czermiński. Był właśnie i on na dworcu, by pożegnać Siostry Felicyanki. Już dzień przedtem przybył także na Kleparz, by się pożegnać z nami i okazać nam, jak bardzo się cieszy, że podejmujemy misyę nad Polakami w Brazylii; tu na dworcu jeszcze raz życzył nam błogosławieństwa w przyszłej pracy.

Już dano znak, że pociąg ruszy niebawem, podajemy konfratrom ręce po raz ostatni — ruszamy, znikają nam konfratrzy, patrzymy się na Kraków, na kościół Maryacki, na Wawel, na nasz kościół w Nowej Wsi — mijamy kopiec Kościuszki, znika powoli i Kraków, tylko niektóre wieże jeszcze sterczą, niebawem i te znikają, pociąg unosi nas coraz dalej od Krakowa i od swoich.

Okolice, któremi jedziemy, nic szczególnego w sobie nie mają, łąki i równiny, uprawne z jednej strony, z drugiej niskie pasma górskie, które giną w oddali. Uderzył nas tylko na kilka mil przed Wiedniem strój wieśniaczek, wracających gromadnie z targu do domu; pstro ubrane, jak Krakowianki, w sukienkach sięgających zaledwie do kolan.

O godz. wpół do 4 stanęliśmy we Wiedniu. Tu pierwszy kłopot z pakunkami naszymi. Na szczęście nawinął się nam barczysty Niemiec, który w mgnieniu oka związał zręcznie wszystkie kufry nasze i cały ten ciężar wziął swobodnie na plecy.

Pojechaliśmy do konfratrów na Kaiserstrasse. Nasz X. superyor Bayer był tu w tym roku już dwa razy, konfratrzy więc tutejsi dobrze wiedzieli o naszej wyprawie do Ameryki. Przyjęli nas serdecznie i tak gościnnie, jak tylko chyba w rodzinie przyjmuje się kogoś, który zmęczony z dalekiej drogi, wraca do domu. Superyor miejscowy X. Derler, to już 88-letni staruszek, ale rzeźki jeszcze, pełen życia i humoru, nie opuszcza żadnego ćwiczenia. Prokurator X. Flandorfer, starszy także człowiek, który kiedyś podróżował po morzu, a obecnie udzielał nam różnych instrukcyj zbawiennych, jak uniknąć nieprzyjemnej choroby morskiej. Inni konfratrzy młodzi jeszcze, w ciągłej pracy, bo Spowiedzi św. słuchają po całych dniach. Kościół konfratrów we Wiedniu nazywają powszechnie „*Beichtkirche*", jest to kościół wielki, bogaty, w stylu gotyckim, podobny do nowszych kościołów wiedeńskich. Urządzenie ma bardzo wygodne, posiada światło elektryczne, a także miech przy olbrzymim jego organie porusza machina elektryczna.

Wiedeńczycy, jak sami się przekonaliśmy, to ludzie pobożni, podczas każdej Mszy św. przystępują całe szeregi kobiet i mężczyzn do Komunii św., wspólnie odmawiają w kościele pacierze głośno i wyraźnie; robi to najlepsze wrażenie i innych do modlitwy pobudza. Mają inne jeszcze przymioty bardzo uderzające: są bardzo uprzejmi, grzeczni bez przesady, usłużni, nie dziwią się żadnemu cudzoziemcowi, mili, skromni, jednem słowem tak sympatyczni, że odrazu chwytają za serce. W Krakowie, a następnie w Paryżu, w Bordeaux i w Lizbonie nie widziałem nigdzie tak spokojnych i miłych ludzi, jak we Wiedniu. Te kilka dni, które spędziliśmy wśród Wiedeńczyków należą do najprzyjemniejszych i najmilsze budzą wspomnienia.

Zwiedzaliśmy codzień od rana do wieczora wszystko, co jest godne widzenia we Wiedniu i tak: katedrę św. Szczepana, prawdziwe arcydzieło architektury, Votivkirche, którą cesarz Franciszek Józef I. wybudował, a która lśni bogactwem rzeźb i architektury. Po parlamencie oprowadzał nas p. Potoczek, poseł nowosądecki, już po raz trzeci z rzędu wybrany do parlamentu, człowiek niezwykłej prawości charakteru, którego krótko przedtem poznałem. Byliśmy także w grobach cesarskich pod kościołem OO. Kapucynów. Dreszcz zimny przechodził po kościach, gdyśmy patrzeli na chwałę i potęgę Habsburgów, obecnie w proch obróconą. W szeregach po obydwóch stronach leżą w bogatych sarkofagach ukoronowane głowy, obok nich żony i dzieci; w osobnej kaplicy złożeni są członkowie najbliżsi obecnego cesarza. W środku zaś jest ogromny sarkofag cesarzowej Maryi Teresy — chwała Austryi — u jej nóg nieszczęśliwy jej syn, cesarz Józef II., który tyle nieszczęść sprowadził na kraj i kościół; obok leży Maksymilian, cesarz meksykański, brat cesarza obecnego, najnieszczęśliwszy z monarchów. Tuż obok rozpoczyna się najmutniejsza tragedya obecnego domu cesarskiego i trudno obojętnie patrzeć na sarkofag i jedynaka Rudolfa i nieszczęśliwej cesarzowej Elżbiety, której śmierć okrutna cesarza do reszty złamać była zdolna. Lżej się robi, gdy się wychodzi

z grobowców cesarskich, które tak wymownie malują nieszczęścia z ostatnich lat domu cesarskiego.

Kto Wiedeń zwiedza, nie omieszka zajechać do Schönbrunu i Prateru. Schönbrun jest położony już prawie za miastem, to letnia rezydencya cesarza. Okiem trudno przejrzeć cały obszar, bo to istny labirynt ogrodów, poprzeżynanych ścieżkami, rozchodzącemi się w promieniu dokoła. Jedna część zamieniona jest w ogród zoologiczny, gdzie pełno różnych dzikich i oswojonych zwierząt ze wszystkich kontynentów ziemi, począwszy od tygrysów, a skończywszy na małpach, bawiących skupioną ciągle koło nich publiczność. Z ptaków oglądaliśmy kondory, sępy, orły, jastrzębie, brodźce, bażanty, papugi i całe roje drobnego różnokolorowego ptactwa. Wszystko utrzymane we wzorowym porządku. To też napływają tu bezustannie całe tłumy ludzi; jedni idą odetchnąć świerzem powietrzem i użyć miłej przechadzki, drudzy idą przypatrzeć się zwierzętom zagranicznym.

Najliczniej atoli gromadzą się Wiedeńczycy w Praterze. W niedzielę popołudniu wyludnia się poprostu miasto Wiedeń, bo wszystko spieszy do Prateru. Jest to ogromny park, przynajmniej tak wielki, jak cały nasz Kraków. Tu czuje się każdy swobodny i znajduje, czego tylko zapragnie. Jedni skupiają się w restauracyach, ciągnących się długim rzędem, drudzy szukają rozrywki przy karuzelach najrozmaitszej konstrukcyi i pomysłu, strzelają do celu, jeżdżą, pływają etc., a inni w zaciszu znajdują słodki wypoczynek zdala od wszelkiego gwaru.

W ostatni dzień pobytu naszego we Wiedniu, zwiedziliśmy wystawę sztuk pięknych. Pinakoteka posiada wszystko, co olśniewa i zachwyca. Jest to ogromny i wspaniały gmach, arcydzieło budowy, urządzony po cesarsku.

Na piętrze mieszczą się rozległe sale z obrazami najsławniejszych artystów szkoły włoskiej, weneckiej, francuskiej i nowszych artystów europejskich. Ogromne obrazy Rubensa i Van Dyka, obrazy Rafaela, Veroneza, Correggia, Dolciego, Guido-Reni i t. d. obrazy artystów europejskich — oto cośmy

tu podziwiali. Jest i arcydzieło polskie Rejtan Matejki i bardzo wspaniale odbija wśród innych obrazów, osobliwie budzi podziw to bogactwo i wdzięk kolorów. Sam Rejtan, leżący w niemej rozpaczy u progu drzwi, tak wymownie głosi tu światu całą bezdeń boleści i nieszczęścia, że trudno oko od niego oderwać. Gromadzą się też wszyscy przed Rejtanem, pokazują go sobie wzajemnie, a my dumni z tego, że to nasz rodak, który nam przyczynił tyle sławy i chwały.

We czwartek wieczorem w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, pożegnawszy się z konfratrami, odjechaliśmy w stronę Monachium.

Nazajutrz, gdy dnieć zaczęło, odsłonił się cudowny widok przed naszemi oczami, na południe wychyliło się z rannej mgły całe pasmo gór, były to przedgórza Alp tyrolskich, szczyty niższe i wyższe, które ciągną się aż pod sam Salzburg, okolony górami. Salzburg, to granica między Austryą a Bawaryą. Ponieważ nie zatrzymywaliśmy się w Niemczech, nie mieliśmy żadnego kłopotu z powodu naszych bagaży. Już czekał pociąg, mający odejść w stronę Monachium, tak, że nie mieliśmy czasu zjeść śniadania; za to oczy nasze karmiły się prześlicznym widokiem, który się koło nas roztaczał. Bawarya, to chyba po Szwajcaryi najpiękniejszy kraj w Europie. Z jednej strony rozległe, okiem nieprzejrzane równiny, a na nich jeziora Trauten i Chiemensee, z drugiej ogromne góry, ciągnące się kilku pasmami. Jedne szczyty nagie, drugie lesiste, a inne wiecznym śniegiem pokryte, giną w chmurach. W kotlinach i po niższych stokach rozrzucone malownicze wioski i mniejsze miasteczka. Dzień pogodny, na niebie niema ani jednej chmurki, powierzchnia jezior gładka jak zwierciadło, nad równinami, lasami i górami zaległa niezamącona cisza, zdala tylko widać pracowitego wieśniaka w polu, lub pasterza, popędzającego trzodę po stokach górskich.

Nie spostrzegliśmy się nawet, gdy stanęliśmy o godzinie 11 z rana w Monachium. Na noc mieliśmy jechać dalej, pozostało nam więc kilka godzin do zwiedzenia miasta.

Monachium, to miasto wielkie, posiada wspaniały pałac

królewski, najbogatszy po Versailles, wiele pomników, ogrodów, wodotrysków, ale kto Wiedeń widział, dla tego Monachium maleje. Nie podobało się więc i nam Monachium, nie podobała się wcale nowa pinakoteka, a stara, która posiada wiele cennych arcydzieł, nie może pod żadnym względem stanąć na równi z pinakoteką wiedeńską. O godz. pół do 9-tej wieczorem wyjechaliśmy z Monachium przez Ulm i Strassburg na francuski Avricourt. Była to już druga noc, którą w wagonie spędzaliśmy zmęczeni i utrudzeni chodzeniem po Monachium, wszyscy, jak kto mógł, ułożyliśmy się do snu, z którego nas budził raz po raz przeraźliwy świst lokomotywy i nowi przybysze podróży. Mocno nas kości bolały, gdyśmy stanęli do rewizyi na granicy w francuskim Avricourt. Kazano nam otworzyć jeden kufer, na szczęście nie było w nim nic podejrzanego, trochę tylko bielizny, stare pantofle i t. d., do drugich nie zaglądali już wcale.

Bez śniadania, znużeni i nieumyci, siadamy zaraz na pociąg francuski, wprost do Paryża dążący. Wagony na pierwszy rzut oka wygodniejsze, ławy w III. klasie wyścielane, ale wkrótce przekonaliśmy się dowodnie, jak nieporządnie wszystko urządzone. Kurzu tu nigdy nikt w wagonach nie zmiata, okna nie zamykają się szczelnie, bo to czas posuchy, nikt do wagonu nie zaglądnie, nikt nie zapyta, dokąd się jedzie, jeden konduktor na cały pociąg, wcale się o pasażerów nie troszczy. Ziemia francuska podobna do okolic nadreńskich, miasta fabryczne, kominów całe lasy sterczą, na wzgórzach winnice, kraj zresztą, kędy jedziemy, to równina, zamieniona w orne pola i łąki. Wzdłuż toru kolejowego ciągnie się sztuczny kanał, w nim pełno łodzi, jedna za drugą płynie, naładowane towarami. Francya, to kraj wzdłuż i wszerz poprzeżynany kanałami, które łączą większe rzeki ze sobą.

Upał straszny, gorąco nie do zniesienia, na dworcach nic nie można kupić, bo jedziemy kuryerem, a do pociągu z restauracyi nikt nie donosi, jak to u nas jest zwyczaj. W ciągu chłodnej nocy nabawiłem się z przeciągu reumaty-

zmu, ramię mię boli, gorąco dokucza, pragnienie dręczy, omdlewamy prawie, oczekujemy niecierpliwie Paryża, by wytchnąć.

Wreszcie o godzinie 2 popołudniu stanęliśmy zmęczeni i czarni od kurzu w domu macierzyńskim na rue de Sèvres. X. Dihm wyszedł przed chwilą do miasta, nie mogąc się nas doczekać, ale bracia wiedzą, że mieli przyjechać księża z Krakowa, witają nas uprzejmie, znoszą pakunki, prowadzą do przeznaczonych pokoi, przynoszą wodę do mycia, zajmują się nami, bo sam widok nasz pobudza do litości.

Pokrzepieni, wytchnęliśmy nieco po przykrej podróży. W dniu tym naszego przybycia do Paryża był ścisły post w całej Francyi przed uroczystością Matki Boskiej Wspomożenia wiernych, aby wyprosić pomoc w ciężkiej walce przeciwko religii świętej — nazajutrz wystawienie Najświętszego Sakramentu od sumy aż do nieszporów.

Zajęliśmy mieszkania na kurytarzu św. Jana Ewangielisty. Dom macierzyński bardzo wielki, wygodny, wszędzie czysto i wzorowy porządek; kaplica gustownie urządzona, większa jej część zamieniona w presbyteryum, ozdobiona malowidłami. Największą jej ozdobą a zarazem najdroższym skarbem, to ciało błogosławionego Ojca, złożone w srebrnej, artystycznie wykonanej trumnie nad wielkim ołtarzem, gdzie cały szereg lampek nieustannie płonie. O, jak nam było przyjemnie uklęknąć tuż przed naszym świętym Ojcem i prosić o błogosławieństwo dla całej prowincyi polskiej i dla przyszłej pracy naszej w Brazylii. Mieliśmy to wewnętrzne przekonanie, że nam św. Wincenty pobłogosławi, bo On dla takich biednych i opuszczonych najbardziej się poświęcał, ich los najwięcej mu na sercu leżał. Kazał się nam przecież modlić o pracowników, bo żniwo wielkie; a przecież obszerne to pole pracy, ta nasza Brazylia.

Nadszedł tymczasem X. Dihm. Krótkie, ale serdeczne było przywitanie, i w ciągu całego pobytu okazał nam tyle serca i tak szczerze zajął się nami, aż nas sobie na zawsze zobowiązał. Jemu też zawdzięczamy, żeśmy tak wiele w stosunkowo krótkim czasie w Paryżu widzieli.

Tego jeszcze wieczora byliśmy u O. Generała. Przyjął nas jak prawdziwy ojciec, z taką serdeczną miłością i prostotą, że nas ośmielił do siebie zupełnie. Na razie wypytał tylko o zdrowie X. wizytatora i X. Lewandowskiego, o podróż naszą, bo widział, żeśmy zmęczeni i spoczynku nam trzeba. Kazał przyjść nazajutrz o godzinie 11, aby pomówić z nami o sprawie amerykańskiej.

Przedstawiliśmy się jeszcze tego samego dnia XX. asystentom — wszyscy nam mówili, że Polaków bardzo lubią. Istotnie Polacy we Francyi mają wielką sympatyę, częścią pochodzi to zapewne stąd, że razem z Napoleonem walczyli dla sprawy francuskiej, częścią wypływa to z natury ludzkiej, która lituje się nad słabymi i nieszczęśliwymi, jakimi właśnie jesteśmy. Poznali Francuzi odrazu, żeśmy cudzoziemcy i nie bardzo łaskawie spoglądali na nas, uważając nas za Niemców lub Hiszpanów, ale skoro dowiedzieli się, że to Polacy, wypogodziło się ich czoło i z ukontentowaniem powtarzali sobie: *oh! Polonais, Polonais!*

Nazajutrz z rana zwiedziliśmy salę relikwii świętych, po szczątkach błogosławionego Ojca najdroższy skarb Zgromadzenia. Oglądaliśmy suknię św. Wincentego i błogosławionych Męczenników naszych, ich brewiarze i inne przedmioty, którymi się posługiwali za życia. Jest tu i powróz, którym został uduszony na krzyżu błogosławiony Clet.

Niedaleko od domu macierzyńskiego, bo zaledwie kilkanaście kroków, jest na rue du Bac w domu Siöstr Miłosierdzia kaplica, w której Matka Najświętsza raz po raz objawiła się Siostrze Katarzynie Labouré, zapewniając ją, że maluczkiem naszem Zgromadzeniem opiekować się będzie; „nie bójcie się, rzekła do niej, gdy zdawać się będzie, że wszystko stracone, ja przy was będę“. Nastały teraz takie czasy dla Francyi, jeden cios po drugim coraz dotkliwiej spada na Zgromadzenie, prawie wszystko stracone. Ojciec Generał zafrasowany o los powierzonej sobie trzódki, konfratrzy w poszczególnych domach przygotowani już na ostateczność — jedyna tylko teraz pomoc w Matce Najświętszej, która Zgromadzeniu

zaginąć nie pozwoli. Jedyna nadzieja ratunku dla Francyi, to cudowna grota w Lourdes, gdzie pobożni żebrzą miłosierdzia Maryi dla nieszczęśliwej ojczyzny swojej.

Nazajutrz mieliśmy wszyscy Msze śś. w cudownej kaplicy u Sióstr Miłosierdzia, X. superyor przy wielkim, ja z X. Chylaszkiem przy bocznym ołtarzu, i znowu tu pamiętaliśmy o całej prowincyi i poszczególnych konfratrach.

Gdy na naznaczoną godzinę stanęliśmy u O. Generała, okazał nam zadowolenie, że prowincya polska podejmuje po raz pierwszy taką misyę poza granicami kraju, ale nie krył też, że jest zaniepokojony o nasz przyszły los w Brazylii, czy sprostamy trudom, które nas z wielu stron niewątpliwie czekają. Na wszelki przypadek dostarczą nam pomocy konfratrzy w Kurytybie, a następnie z dobroci i życzliwości ku nam zapłacił nam podróż do Lourdes, aby tę pierszą misyę oddać Najświętszej Pannie i na tem cudownem miejscu poprosić o Jej błogosławieństwo. Było to ukryte życzenie nasze, stąd też czujemy tem większą wdzięczność dla O. Generała. Gdy będziemy w Lourdes — myśleliśmy sobie — to się już niczego obawiać nie mamy, bo nas Matka Najświętsza osłoni opieką Swoją na morzu i w Ameryce — Ona nie odrzuci modlitwy naszej, ale ją wysłucha i nam pobłogosławi.

Po południu zaczęliśmy zwiedzać miasto. Ruch tu szalony, nie podobna przejść z jednej strony ulicy na drugą, jedzie wóz za wozem, omnibusy i tramwaje piętrowe, koleje elektryczne podziemne, koleje zębate, coś 10 dworców, pełno samochodów pędzi po każdej ulicy, bicykliści, handlarze z wózkami — jednem słowem życie paryskie jak bystra rzeka w ciągłym ruchu. Mieszkańcy przyzwyczajeni do ruchu tego, czujni na każdym kroku — w Krakowie przy podobnym ruchu byłoby conajmniej połowa przejechanych. Francuzi charakteru żywego pędzą przez ulicę, każdy prawie z gazetą, którą po drodze kupuje. Co krok sprzedawają gazety, kupcy w niebogłosy wywołują cenę poszczególnych journalów. Przechodnie zwracają uwagę już nie tak na nas, jak na nasze kapelusze, stawają poprostu i palcem na nas pokazują, wie każde dziecko,

żeśmy obcy, niewiadomo tylko jakiej narodowości. Zdeklarowani nieprzyjaciele wiary złośliwie się patrzą na nas, słyszymy raz po raz wyzwiska, któremi nas częstują: „oto djabli“, to dzicy księża — *curés sauvages* i t. p.

Spokojnie idziemy dalej, nic nas nie dziwią podobne wybryki, bo wiemy, że Paryż, to drugi Babilon, który już oddawna wyzywa pomsty Bożej; nie karze jeszcze Bóg tego miasta dla wielkiej liczby sprawiedliwych, których cnoty rozchodzą się jak miła woń wśród powszechnego zepsucia i zdziczenia obyczajów. Że kiedyś Paryż był inny i że jeszcze obecnie wielu jest pobożnych chrześcijan, to świadczy o tem wielka liczba kościołów cudownej struktury i niesłychanych bogactw, jakoteż i to, że napotyka się wiernych po kościołach o każdej porze dnia.

Do liczby najpiękniejszych kościołów obok katedry Notre Dame na wyspie wśród Sekwany należy niewątpliwie kościół św. Magdaleny w stylu greckim naprzeciwko parlamentu tejże samej struktury. Zdaje się zrazu, że to kościół maleńki, a w rzeczy samej jest ogromny; całkiem on inny od naszych kościołów krakowskich. Szeregi olbrzymich kolumn nadają mu wyjątkowy urok i majestat, odczuwa się, że to dom Najwyższego. Tu gromadzi się arystokracya paryska to kościół niemal wyłącznie dla nich tylko przeznaczony.

Wszystkie większe kościoły paryskie albo całkowicie w tym stylu są zbudowane, albo przynajmniej zaczerpnięte z niego najgłówniejsze motywa. Takim jest także kościół św. Wincentego i Mont Martre, czyli kościół Serca Jezusowego, do którego wjeżdża się koleją zębatą, z Mont Martre ma się widok na cały Paryż. Kędy oko sięgnie, tam miasto, dom obok domu, nad domami zaś sterczą wieże kościołów i kominy fabryk.

Zwiedziliśmy też chapele du bazar de la Charité, wybudowaną po strasznym pożarze, który w maju 1897 roku zniszczył bazar i tyle ofiar pochłonął. Dziś wznosi się nad tem miejscem strasznej katastrofy śliczna a zarazem bogata kaplica. W urnach złożone są popioły nieszczęśliwych ofiar,

wzdłuż kaplicy znajdują się obok ścian nagrobki bogatych, którzy znaleźli niespodziewanie śmierć w płomieniach. Na jednym nagrobku odczytaliśmy napis księżnej d'Alençon, nieszczęśliwej siostry ś. p. cesarzowej Elżbiety, która także zginęła w owym pożarze. Najsmutniejsze uczucia budzą się w sercu wobec tych urn w kaplicy de la charité — samo miejsce usposabia poważnie każdego i nadaje się do gorącej modlitwy. Modlą się też tu ludzie gorąco, zwłaszcza, że dobrze pamiętają tę straszną katastrofę.

Całkowitem przeciwieństwem do poprzedniej jest sainte chapelle — święta kaplica — prawdziwy klejnot i najśliczniejsza ozdoba wśród wszystkich kościołów paryskich. Była to kaplica królewska, to też królowie francuscy niczego nie szczędzili, by bogactwem olśniła wszystkich i godnem stała się mieszkaniem niebieskiego Pana. Stosunkowo nie wielka, ale takie tu bogactwa, takie witraże, tak ściany w najpiękniejszą mozajkę ozdobne, tyle drogich kamieni, że to wszytko razem olśniewa, można to wszystko tylko podziwiać — słów jednak braknie na opis tego, czem oko nasycić się nie może. Brak tylko najniezbędniejszej ozdoby, która i najbiedniejszy kościółek nieskończenie wzbogaca — brak ołtarza i tabernakulum z Najśw. Sakramentem. Stoją tylko same ściany i dlatego przy wszystkich bogactwach głucho tu i pusto. Kaplica ta znajduje się w pobliżu pałacu sprawiedliwości i sądu, boi się bezbożny Paryż, by tak blisko nie odprawiała się Najświętsza Ofiara.

Na wzmiankę zasługuje także kościół Notre Dame de la Victoire, Matki Boskiej Zwycięzkiej. Tu się najczęściej Polacy modlili, tu ziemia polska złożona i Matka Boska Częstochowska. Piękny to dowód miłości i ufności naszej ku Maryi. W kościele tym słynie na cały Paryż i okolicę cudowny obraz Matki Boskiej Zwycięzkiej. Gdy się widzi te niezliczone światła, płonące u stop ołtarza Maryi i całe tłumy wiernych zatopionych w gorącej modlitwie, wierzyć się nie chce, że się jest w Paryżu, w stolicy zepsucia i bezbożności, gdzie jawna toczy się walka przeciwko Kościołowi i religii. Matka Boska Zwy-

ciężka odniesie zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi Kościoła, wierni katolicy w Paryżu pokładają tę ufność w potęgę cudownej swej Matki, która zasłynęła już tylu cudami. Wszystkie ściany od posadzki do sklepienia, od ołtarza wielkiego do bramy głównej po obydwóch stronach zapełnione są marmurowemi tabliczkami na podobieństwo wotów po naszych kościołach.

Pospieszyliśmy także do tumu inwalidów, gdzie spoczywają zwłoki Napoleona I. Jestto świątynia, składająca się z dwóch części. Jedną zapełnia grób Napoleona wpuszczony o jedno piętro w posadzkę w kształcie koła. Bohater spoczywa w wielkim sarkofagu z ciemno-czerwonego marmuru, wokoło na posadzce promienie mozajkowe i chorągwie zdobyte na polu walki. Światło wpadające do grobowca przez żółte szkło złotymi promieniami, jakby aureolą oświeca w około nieśmiertelnej sławy bohatera Francyi. W rogach tej świątyni są ustawione sarkofagi braci jego: Hieronima i Józefa, tudzież sławnych wodzów: Bertholeta, Duroca, Turenniusza. Nad grobowcem olbrzymia kopuła, zdobna w najwspanialsze freski, mniejszych kopuł kilka, całość robi niesłychanie uroczyste wrażenie. Zrozumieli Francuzi, że część wyjątkowa należy się temu, który wsławił imię ich po wszystkie czasy, to też godny wystawili pomnik wielkości jego. Ale w sercu odzywa się zarazem głos: o jak marna jest wielkość i sława ziemska. Kiedyś Napoleonowi małym był świat cały i żadne zwycięstwo nie mogło ugasić w nim żądzy wojennej, dziś w proch obrócony i sarkofag stał mu się dostatecznem mieszkaniem.

Druga część świątyni to kaplica, w której codziennie odprawia się o godz. 9 Msza św. Wzdłuż jednej i drugiej strony pozawieszane są chorągwie zdobyte i gobeliny.

Ma Paryż jeszcze inną świątynię z grobami zasłużonych mężów — to sławny Panteon, w którym spoczywają Voltaire, Roussean, Wiktor Hugo i wielu innych sławnych z nauki i jawnej bezbożności. A przecież był kiedyś Panteon jedną z najpiękniejszych świątyń kościoła — nigdzie nie widziałem

tak ślicznych fresków, przedstawiających sceny z ewangelii, jak tu właśnie.

Tuż obok Panteonu jest kościół z grobowcem i ciałem św. Genowefy, patronki Paryża. Doprawdy wiele już napisałem o Paryżu, a przecież to wszystko jest niczem wobec tego, co tu widzieć i podziwiać można. Życie n. p. paryskie całkiem odmienne od naszego. Cały ruch skupia się na bulwarach, na każdym kroku taka wrzawa, że zdaje się jakoby się ludzie bili między sobą, a tymczasem w najlepsze się bawią — tu gromada otacza kuglarza, który popisuje się sztuczkami, tam trochę dalej myszki i ptaszki wyciągają ciekawym przyszłości karteczki, z których wnioskują o szczęściu na przyszłość. Gdzieindziej jakiś komedyant w niebogłosy woła, by zwabić ciekawy tłum do siebie, wróble oswojone na rękach i głowie siadają, opodal karuzele, komedye, wrzawa i hałas nie do opisania — ale to właśnie mieszkańcom najbardziej się podoba. Na ulicy rozstawiają sobie krzesełka, zapijają kawę, wino, piwo — restauracya bez kosztów pod gołem niebem.

Najlepiej życiu paryskiemu przypatrzeć się można w lasku Boulogne — to coś takiego, jak prater wiedeński. Tu dotąd po południu zdąża cały Paryż a zwłaszcza arystokracya, by wśród lasu odetchnąć świeżem powietrzem i zapomnieć o troskach dziennych. Nikt się tu nie krępuje żadnymi zwyczajami towarzyskimi, im kto swobodniej rozciągnie się na ziolonej murawie, tem lepiej się ubawi i wypocznie. Osobną część lasku zajmuje — jardin d' aclimatation — z oswojonemi zwierzętami dzikiemi i z grupą murzynów, którzy prowadzą sobie tu życie na sposób afrykański. Chodzą więc prawie nago, jaki taki gałganek od niechcenia rzuca na siebie, matki noszą dzieci na plecach. Wszystko mieszka razem pod gołem niebem, starsi murzyni misterne wykonują roboty metalowe w ogniu, a chłopaki od naszych uliczników zuchwalsi i zwinniejsi, proszą się o centimy i w locie je w mig chwytają i zawsze się poczubią przytem między sobą. Nad całą osadą jest król, różniący się od innych tem tylko, że surowszą ma

minę, większy brzuch i czerwony chałat na sobie. Okazują mu szacunek jak władcy i królowi, noszą na lektyce pod ogromnym parasolem i kilka razy wyprawiają tany na jego cześć. Taniec ten, to bezmyślne kręcenie się w koło, podskakiwanie, bieganie, kurczenie to prawej, to lewej nogi, ale wszystko wykonane niewątpliwie z artyzmem — a król spogląda z zadowoleniem na bawiących go poddanych i wszyscy z radości wrzeszczą w niebogłosy.

Z powrotem z lasu bulońskiego zdążamy wprost do tak zwanej — etoile — gwiazdy. Jestto szeroki plac, z którego w promieniach rozbiegają się najpiękniejsze ulice Paryża, ginące dopiero gdzieś daleko na horyzoncie. W środku wielki łuk tryumfalny Napoleona I. kędy po wielkich zwycięztwach, opromieniony chwałą, wjeżdżał do Paryża. Na ścianach tego łuku są wyryte nieśmiertelne zwycięztwa — odczytaliśmy tam i polskie miejscowości Połock, Ostrołęka — i nieszczęśliwa Moskwa. Nieco dalej w prostym kierunku jest mniejszy łuk tryumfalny, obok ogromny obelisk, z niesłychanymi kosztami z Egiptu sprowadzony, obszerne zabudowania Louvru, mieszczące w sobie najcenniejsze dzieła sztuki wszystkich czasów, pałac Tuillerye, pałac prezydenta Loubeta. Nad Sekwaną, po której kręci się całe mnóstwo parowców, znajdują się co kilka kroków kamienne i zelazne mosty — most Aleksandra bez filarów o jednym tylko łuku, to prawdziwe arcydzieło. Nad całym Paryżem sterczy wysoko na placu powystawowym wieża Eiffel 300 mtr. wysoka. Koleją zębatą wjeżdża się aż na sam szczyt, zkąd prześliczny widok na całe miasto i okolicę, na samym szczycie jest kawiarnia i restauracya, sklepy itp. co kto chce, kupić sobie może.

Nogi nas już bolały od chodzenia, a oczy jeszczeby rade zobaczyć nie jedno z tego, o czem nieraz słyszeliśmy. Zabrakło nam niestety czasu na zwiedzenie Versailles i grobów królewskich w Saint-Denis. Wtorek to dzień przechadzki księży w domu macierzyńskim. Kto żyw rusza do Gentilly. Ojciec Generał zaprosił nas także na tę wspólną przechadzkę i było nam to na rękę, bo pragnęliśmy i to miejsce odwiedzić.

Ogród duży, dom obszerny, w kaplicy prześliczna statua Matki Boskiej. O ile w domu rygor i punktualność, o tyle tu miła swoboda. W Gentilly odetchnie każdy świeżem powietrzem, wypocznie i pokrzepi się na dalszą pracę całotygodniową.

Wracajac ztąd odwiedziliśmy dom polski S. S. Miłosierdzia u św. Kazimierza w odległej i dość zaniedbanej dzielnicy miasta. Już w drodze do Gentilly za obrębem miasta uderzyła nas najjaskrawsza nędza przedmieścia. Biedne i walące się hałupki, ludzie obdarci o dzikim i okrutnym wyrazie twarzy. W mieście tyle przepychu i bogactw, tu brak kawałka chleba na zaspokojenie trawiącego głodu.

Dom św. Kazimierza ustrzegł niejedną sierotę przed podobną nędzą. Dziwnie miło nam się zrobiło, gdy znaleźliśmy się na obczyźnie wśród swoich i polskim rozmówili językiem. Kapelanem jest tu X. Maryański, młody jeszcze kapłan, który nas odprowadził do domu.

Już we wtorek wyjeżdżać z Paryża trzeba było, by zwiedzić Lourdes, Dax i na czas zdążyć na okręt. Pobyt w domu macierzyńskim pozwolił nam poznać wzorowe życie, akuratność, wzajemną miłość i prostotę konfratrów. Mówiliśmy sami do siebie: to doprawdy dobrzy i pobożni konfratrzy, a dom macierzyński wzór życia misyonarskiego. Taka tu równość między wszystkimi, taka szczerość i prostota, tak jeden drugiemu usłużyć i ustąpić umie, że się spełniają słowa: „*quam iucundum est habitare fratres in unum*“.

Dnia 24 maja o godz. 8 wieczorem wyjechaliśmy z Paryża — tłum ludzi zatrzymał się przed naszym domem, sądząc może, że wydaleni z Francyi wyjeżdżamy za granicę. Na dworcu pożegnaliśmy po raz ostatni kochanego X. Dihma, który nas tak niezmordowanie oprowadzał po Paryżu. Jechaliśmy noc całą, rano o g. 6$^{1}/_{2}$ stanęliśmy w Bordeaux i nie zatrzymując się, puszczamy się wprost do Lourdes. Okolica zrazu bardzo jednostajna, uboga znać i nieurodzajna, niskie sosnowe lasy z obydwóch stron kolei. Z powodu wyjątkowych mrozów tegorocznych połowa drzew uschła.

Począwszy od Dax zmienia się krajobraz zupełnie —

w oddali widać już śliczne Pireneje, trochę we mgle, znikają chwilowo i znowu zarysowują się na horyzoncie — wzdłuż toru płynie szeroka rzeka, tworząc tysiączne małe kaskady, domyślamy się, że to ta sama rzeka, co płynie u stóp skał Masabielskich.

Dzień gorący, te same hołotne wagony zakurzone, w budkach na kolei pełnią służbę same tylko kobiety — wychodzą one podobnie jak u nas budkarze przed pociąg z chorągiewkami czerwonemi.

Tymczasem Pireneje coraz widoczniejsze, ogromne czarne góry już tuż przed nami, u ich stóp zapewne Lourdes. I tak było istotnie; z wagonu widzimy kościół, który Matka Najśw. zbudować sobie kazała, wysoko na skale głosi on potęgę Maryi.

Na dworcu deszcz pada, jedziemy więc wprost do hotelu belgijskiego, myjemy się, bo wstyd pokazać się w takim stanie, od samych rąk woda tak czarna, jak gdyby atramentu do niej nalano.

Po obiedzie zdążamy wprost do kościoła. Przed cudowną grotą całe tłumy ludu, na klęczkach modlą się z wyciągniętemi rękoma do Maryi, obok na noszach i wózkach pełno chorych, których przywieziono z daleka, ufając że cudu dostąpią. Sam widok ich, ta ufność i gorąca modlitwa, ten wzrok błagalny skierowany ku Maryi, te łzy, które im płyną po licu, wzruszają nas do głębi. Zadajemy sobie po prostu gwałt, by razem z innymi nie zaszlochać głośno z świętego wzruszenia. Ciśniemy się do św. groty, w miejscu gdzie się Matka Boska objawiła stoi statua, wśrodku ołtarza, wokoło płoną tysiące świec, które pobożni pielgrzymi przynoszą, niektóre tak grube, jak średnie drzewa. Nad grotą całe szeregi kul, które cudownie uzdrowieni zostawili na wieczną pamiątkę, one tu najwymowniej głoszą, jak potężną jest Marya, jak łaskawa się tu światu okazała.

O jak tu ludzie gorąco się modlą, z jaką ufnością wyciągają ręce ku Maryi, jak zdają się zapominać o wszystkiem, w tak świętem pogrążeni są skupieniu. Padamy i my na ko-

lana, czujemy wyraźnie, że święte jest to miejsce, na którem klęczymy, wiemy, że tu wiele uprosić możemy i dlatego pełni ufności wszystkie potrzeby nasze i drogich nam osób polecamy Maryi, a czego usty wymówić trudno, to serca nasze Maryi mówią.

Nad grotą zbudowany jest jeden kościół, a nad tym drugi, do którego się wchodzi po schodach wysoko. Co tu światła, co tu tabliczek wotowych, co jedwabnych wzorzystych chorągiewek, które pielgrzymi złożyli w darze Matce Boskiej w Lourdes!

Wieczorem tego samego dnia o g. 8 odbyła się uroczysta procesya z cudownej groty na około szerokiego placu przed kościołem. Zgromadziły się tysiączne tłumy, bo przybyła pielgrzymka włoska i bretońska i wielu innych pielgrzymów z różnych stron, widzimy także kilka Sióstr Miłosierdzia. Każdy z pielgrzymów idzie ze świecą w ręku, procesya postępuje w dwóch szeregach, chór śpiewa pobożne pieśni, a każdy jak umie powtarza za chórem: „*Ave, ave Maria*“ a pobliskie niebotyczne Pireneje jeszcze po chwili powtarzają ze wszystkich złomów tysięcznem echem: „*Ave, ave Maria!*“

Procesya trwa przeszło godzinę — wracamy przed kościół jaśniejący od stóp do szczytu tysiącznemi lampkami elektrycznemi w najcudowniejszych kolorach — chociaż noc ciemna, cały kościół widać i na wieży napis świetlny: „Notre Dame de Lourdes“.

Jeden z księży wygłasza krótki panegiryk ku czci Maryi, a chór wraz z całym ludem odśpiewuje na zakończenie „Credo“ na dowód, że nie wygasła jeszcze we Francyi prawdziwa i święta wiara.

Nazajutrz odprawiliśmy Msze św. nad grotą w kościele i wysłuchaliśmy kilka innych w samej grocie wraz z pielgrzymami, którzy śpiewali przecudne pieśni, prosząc o miłosierdzie nad nieszczęśliwą Francyą i szczególniejszą opiekę nad Bretanią. Bretania tak podobna do Polski, wydzierają

im język ojczysty i religię — tymczasem religia św. zapuszcza tam coraz głębsze i trwalsze korzenie.

Zwiedzamy też trochę miasto Lourdes. Niedawno jeszcze była to biedna i światu nieznana wioska, teraz przekształciła się w piękne miasto o 9.000 mieszkańców. Wzdłuż ulicy hotel obok hotelu ze sklepami, gdzie sprzedawają różnego rodzaju dewocyonalia. Jest dziś dzień targowy, to też spotykamy całe szeregi wieśniaków i wieśniaczek, spieszących na osiołkach i mułach do miasta. Ciekawy to widok jak biedne osiołki obładowane towarami lub barankami, na których siedzą jeszcze wieśniaczki, jeden po drugim pędzą drobnym kłusem niezmordowanie do miasta.

Dokoła Lourdes piętrzą się nagie po większej części szczyty Pirenejów, wysoko nad nimi sterczy jak olbrzym szczyt: Pic du Jer, wyjeżdżamy nań koleją zębatą za kilka franków od osoby. Jesteśmy 1200 metrów wysoko, rozpościera się przed nami rozległy widok na równiny i długie pasma niebotycznych pirenejskich szczytów, śniegiem pokrytych. Po obiedzie idziemy jeszcze raz do groty i pobożnie na pożegnanie całujemy to miejsce, na którym stała stopa Najśw. Panny — przypatrujemy się jeszcze, jakiś młody ojciec pełen wiary pociera o skałę dziecię swoje chore, oddając je łasce Maryi — i my pełni wiary pocieramy nasze koronki i brewiarze i zerwawszy na pamiątkę kilka kwiatów i listków z cudownej groty, zabieramy się z powrotem. Żal nam było opuścić Lourdes, i jeżeli miał który z nas jakie życzenie na sercu, to było chyba tylko to jedno, by jeszcze raz w życiu kiedyś mieć szczęście odwiedzić tę cudowną grotę w Lourdes.

O godzinie 5-tej po południu wyjechaliśmy z Lourdes. Patrzymy po raz ostatni z wagonu na kościół Matki Boskiej i na całe pasmo Pirenejów, za które się chowa zachodzące słońce, rozlewając złoty blask po śniegach zalegających szczyty. Jedziemy powoli, co chwila stajemy na stacyach, w Pau czekać musimy całą godzinę, w Dax spodziewaliśmy się stanąć o wpół do ósmej, tymczasem dochodzi już dziewiąta, a my

jeszcze jedziemy. Trudno zaczepić kogoś o wyjaśnienie, bo się albo nikt nie jawi, albo taką odpowie francuszczyzną, że trudno coś zrozumieć. Na dobitek zrywa się burza straszna, błyskawice białe rozrywają niebo, przeciągłe echa piorunów przetaczają się z jednej granicy horyzontu na drugą — i my wśród tego ulewnego deszczu stajemy w Dax. Siadamy na omnibus, który nas wiezie bez końca po jakichś uliczkach ciemnych i krętych, wreszcie woźnica staje i oznajmuje, że tu dom Misyonarzy. Ciemno, deszcz leje, grzmot huczy — kroczę naprzód przez jakiś szeroki plac i po omacku wdrapuję się po schodach do domu na zwiady — czy się kto nie raczy obudzić i otworzyć bramę biednym pielgrzymom.

Czekam i czekam — deszcz lunął całym strumieniem, nie ma już suchej nitki na mnie — na szczęście zadzwoniły klucze i braciszek drzwi otworzył. Miło się człowiekowi robi, gdy wśród ciemnej nocy znajdzie schronienie — nam było tem milej, bo znaleźliśmy się jak u siebie u konfratrów w wygodnym domu. Nazajutrz po Mszy św. zwiedziliśmy cały dom i ogród. Wszystkie zabudowania przypominają dom macierzyński; w kościele i w domu mają konfratrzy światło elektryczne. W około bardzo duży ogród warzywny i park, — a w parku cmentarz konfratrów, gdzie spoczywa znany nam w Polsce ś. p. X. Lechevalier. Wciąż on tu podobno Polskę wspominał, niektórzy konfratrzy zapamiętali sobie kilka polskich słów od niego i teraz nam je powtarzali. Wizytator X. Vernière, staruszek już — to po prostu św. człowiek. X. Valette, niewidomy i wiekiem przyciśnięty, kazał się zaprowadzić do salki rekracyjnej do nas — do konfratrów polskich — i razem z innymi pił zdrowie i pomyślność Polski. Wśród braci rozmawialiśmy z jednym, który pochodzi z domu w Kolonii i dobrze znał ś. p. brata Bernarda ze Stradomia i trochę pamięta brata Bartłomieja. Klerycy, seminarzyści i studenci liczni, wśród nich jest sześciu Portugalczyków, którzy nas oprowadzali po całym domu. Studenci mają dość piękny gabinet zoologiczny, w nim trochę wypchanych ptaków, za to całe pudła najpiękniejszych motyli i chrząszczy

brazylijskich. Gabinet fizyczny bardzo bogaty, duże machiny elektryczne, fonograf, zastosowanie promieni Roentgena, które nam pokazywali.

Po obiedzie zaraz pojechaliśmy do „Berceau“, kolebki św. Wincentego, by nazajutrz odprawić Msze św. w tym domku, w którym się urodził św. nasz Ojciec. Dax widzieliśmy mało co, tylko po drodze do Berceau przejechaliśmy kilka czystych uliczek wśród ładnych domów, z balkonów zwieszają się całe girlandy czerwonych i szamowych róż aż na samą ziemię i w ten sposób ulice w pachnące ogrody zamieniają. Za miastem płynie rzeka Adour, tak szeroka jak Wisła pod Krakowem.

Za 20 minut zajechaliśmy pięknym konikiem konfratrów do Berceau św. Wincentego — powoził nam braciszek. Miejscowy superyor w Berceau X. Serpette oprowadził nas zaraz wszędzie. Odwiedziliśmy kościół zbudowany na miejscu, gdzie stał dom rodzinny św. Wincentego, obecnie domek ten przeniesiony opodal, stoi dobrze zachowany. Te same belki i ściany, dach tylko inny, ale taki jak dawniej. W izdebce św. Wincentego znajduje się ołtarz z jego św. relikwiami, przy tym ołtarzu mieliśmy szczęście odprawić Mszę św. Na froncie kaplicy jest bardzo piękny napis: *Quis putas iste puer erit?* — (czy wiesz, co to za chłopiec będzie?).

Z tej tu biednej wioski wyszło światło, co cały świat oświeciło, tu w tej ubogiej wiosce Puy (dzisiaj Berceau zwanej) udzielał hojnej jałmużny ubogim biedny chłopczyk Wincenty, który potem żywił całą Francyę i stał się ojcem ubogich i sierót.

W kościele parafialnym, który niedaleko stoi, przechowują do dziś dnia chrzcielnicę, w której ochrzczony został św. Wincenty, ale kościółek ten biedny i zaniedbany bardzo. Obok kaplicy przy domu naszym stoi olbrzymi dąb, skrępowany żelaznemi obręczami, jeszcze do dziś dnia pięknie zielony, chociaż już za czasów św. Wincentego miał być spróchniały.

W Berceau znajduje się Małe Seminaryum, liczy 120

uczniów. Konfratrzy mają tu duże zabudowania, wielkie gospodarstwo, wiele krów, koni i osłów — obok zaś jest dom Sióstr Miłosierdzia i sierót, ale wszystko razem, trudno odgadnąć gdzie granica i co do kogo należy. Szczęśliwym trafem bawił właśnie w Berceau X. Campan, superyor domu w Bordeaux, gdzie spędzić zamyślamy Zielone Świątki. Wyjechaliśmy do Bordeaux naprzód, a on dopiero w drugie święto miał przyjechać za nami.

W Bordeaux zastaliśmy tylko X. Busquet, wszyscy inni byli w podróży. Dom konfratrów nie wielki, ale bardzo ładny; była to willa jakiegoś państwa, nabyta za 110000 franków; przed domem ogród pełen rosłych platanów. I ten milutki domek będą musieli prawdopodobnie wkrótce konfratrzy opuścić.

Nazajutrz przypadło pierwsze święto Zesłania Ducha św. Tęskno się nam robiło za Krakowem, bo tu w Bordeaux nic nam nie przypominało tak wielkich świąt; na ulicy zwykły codzienny ruch, w katedrze odprawiało się wprawdzie solenne nabożeństwo, ale mała tylko garstka wiernych przyszła na Mszę św.

W drugie święto po południu przejechaliśmy się po Garonnie na małym parowcu, by zobaczyć okręt „Amazonkę" stojący kilka kilometrów od Bordeaux na głębszej wodzie. Obok „Amazonki" widzieliśmy olbrzymi okręt „Chili", który z początkiem maja zatonął z powodu nieostrożności w samej zatoce. Szkodę obliczają na sześć milionów franków. Był to ten sam okręt, którym początkowo jechać chcieliśmy do Ameryki. Niemałe spotkało nas zmartwienie w tym dniu. Oto dowiadujemy się w „Menageries Maritimes", że pakunki nasze, wysłane już przed trzema tygodniami nadeszły tu dotąd w najgorszym stanie, bo skrzynie rozbite. Lękamy się, że wszystko zniszczone i pogubione, pojutrze mamy odjeżdżać, będzie trzeba sprawić nowe skrzynie a pakunków z powodu święta oglądać nie można. Każdy zasępiony i zniechęcony, bo to nie małe obstaculum, może i rzeczy kościelne połamane, skąd wziąść nowych skrzyń i popakować teraz

w kilku godzinach rzeczy, które tak mozolnie i tak długo pakowaliśmy w Krakowie.

Ciężko było pójść spać, gorzej jeszcze przebudzić się, wracała wciąż ta myśl: co będzie z bagażami. Tymczasem nie było tak źle, rozbiły się wprawdzie wieka dwóch pak, ale naprawiono je natychmiast i zdaje się, że nic nie poginęło. Spadł ciężki kamień z serca, swobodnie mogliśmy resztę drobnych rzeczy zakupić. W wigilię odjazdu zjechali wszyscy konfratrzy do domu, okazali nam wiele serca, bo się zajmowali naszemi sprawami, ułatwiali nam wszystko i wystarali się dla nas o biały i czerwony ornat do Ameryki. Wreszcie 3 czerwca o godzinie wpół do dziesiątej ruszyliśmy do portu, by popłynąć do Ameryki przez szerokie i dalekie morze. Okręt „Amazonka“ popłynął na głębszą wodę, my tymczasem wsiadamy na statek „Felix“, który nas przewiezie do niego. Z pasażerów byliśmy prawie pierwsi, powoli zaczęli przychodzić inni, którym towarzyszyli krewni i znajomi, statek zaludnił się zupełnie. Dano pierwszy znak, że czas już pożegnać się. Pożegnali nas tedy XX. Busquet i Bareau, żegnają się wszyscy inni, pasażerzy i służba okrętowa. Nie było czasu myśleć o tem, że żegnamy Europę i na daleki puszczamy się ocean, bo zaledwie wybiła jedenasta i statek nasz ruszył, zadzwoniono na obiad, za który dziś wyjątkowo płaci się 4 franki od osoby.

Jemy pierwszy raz na wodzie, — ani czuć, że jedziemy, a przecież statek prędko pruł wodę, bo o godzinie 12 byliśmy już daleko. Rzeka Garonna w tem miejscu najmniej 12 razy tak szeroka jak Wisła pod Krakowem; z jednej i drugiej strony widać wioski i miasta, lasy i urodzajne pola, po rzece przesuwają się przed nami okręty, statki, żaglowce i łodzie rybackie, które wicher szybko pędzi przed sobą. Wyszliśmy wszyscy na pokład, by nasycić się uroczym widokiem wokoło nas, ale wiatr silny, zimny, uważać trzeba, żeby nie porwał kapelusza. Niebo zachmurzone, wiatr coraz silniejszy, na rzece powstają coraz większe fale, obawiamy się, że morze będzie niespokojne.

Rzeka rozlewa się coraz szerzej, Garonna łączy się z rzeką Dordogne i nosi odtąd nazwę Gironde. Jest to rzeka tak ogromna, że zdajemy się być już na pełnem morzu.

O godzinie pierwszej po południu zobaczyliśmy przed sobą „Amazonkę“, niebawem stajemy przed nią, zarzucają pomost a nas prowadzą do przeznaczonej kajuty. Maleńki to pokoik o jednem okrągłem okienku, cztery łóżka jedno nad drugiem, umywalnia i nic więcej. Ciężko byłoby tu przepędzić całe trzy tygodnie, ale w kajucie są pasażerzy tylko w nocy, a dzień przepędza się na pokładzie lub w salonie.

Oglądamy okręt — jestto prawdziwy olbrzym 160 m. długi, trudno przejrzeć z jednego końca pokładu na drugi. Pełno kurytarzy, schodami chodzi się jak w kamienicy do góry i na dół. Refektarz nasz to wspaniały, długi i szeroki salon, jest nadto salon do zabawy, salon muzyki, salon do palenia i salon przeznaczony na czytelnię. Po stołach są tu rozłożone najrozmaitsze tygodniki i pisma, w osobnej szafie książki, przeważnie romansowe, które za 5 franków wypożyczać można; wśród nich znalazłem Sienkiewicza: „Quo vadis“ i „Bartek il Voinqueur“. Przód okrętu zajmuje III. klasa; mają miejsce odosobnione, nie wolno im przyjść na pokład, ani do salonu; naprzeciwko nich umieszczone są woły, prosięta, barany, indyki, kury, przeznaczone na rzeź w długiej podróży morskiej. Ciasno im i niewygodnie w trzeciej klasie, ale mimo tego bawią się najlepiej. Jest wśród nich kilku żołnierzy jadących do Dakor, którzy do reszty innych spokojniejszych rozruszają; po całym dniu aż późno w noc śpiewają, tańczą i hałasują.

Porządek na okręcie mniej więcej taki: o godzinie 7 kawa z bułką i ciastkami, o wpół do 11 drugie śniadanie a o wpół do 7 obiad. Menu następujący: na śniadanie jako przekąskę dawają: masło, kiełbasę, rzodkiewki i ślimaki to surowe, to smażone, te ostatnie lubią francuzi najwięcej; na obiedzie zastępuje to wszystko rosół lub zupa, następnie idzie potrawa z jaj i ryb lub z raków morskich; codzień na śniadanie i obiad są inne ryby; z kolei idzie kilka potraw

mięsnych jak; kaczki, kury indyki, wołowina, baranina z odpowiednią jarzyną; do obiadu podawają jeszcze leguminę i lody, następnie dwa gatunki sera, owoce: czereśnie, truskawki, gruszki, pomarańcze, biscuit, a w końcu czarną kawę. Na stole jest zawsze butelka Bordeaux.

Prócz tego zastawiają o godzinie 2 popołudniu bulion, ser, wino i owoce, a o wpół do 10 wieczorem herbatę.

Okręt „Amazonka“ miał ruszyć dopiero o północy, w czasie przypływu. Czekamy, ale doczekać się nie możemy, odmawiamy wspólnie *itinerarium* i polecamy się Matce Najśw., bo niedługo mieliśmy ruszyć na pełne morze.

Rano po przebudzeniu się biegnie każdy do okna, by zobaczyć jak morze wygląda, a tymczasem stoimy ku zdumieniu naszemu na temsamem miejscu. Pytamy co jest i co się stało, wkrótce czytamy ogłoszenie, że zepsuła się maszyna przy kotwicy i z tego powodu najmniej 48 godzin stać będziemy.

Zimno nieznośne, kto wyjdzie na pokład, ucieka, bo go wicher chce porwać. Od czasu do czasu przejeżdża przed nami statek, to żaglowiec znowu, to wicher porywa łódź rybacką, zdaje się, że utonie, bo fale się piętrzą i prawie zupełnie ją pokrywają.

Nie tracimy jednak humoru, z X. Chylaszkiem idziemy na pokład, by odfotografować okolicę. Duży żaglowiec tuż przed nami, X. Chylaszek zakłada kliszę, ja trzymam aparat, bo go wiatr chce porwać, już się cieszymy, że się fotografia uda, tymczasem klisza pęknięta, jak wiele innych, o czem się zaraz przekonaliśmy.

Po południu ustał wicher, zrobiło się ciepło, pasażerowie wyszli na pokład. Mówią między sobą po francusku, portugalsku i hiszpańsku, z Polaków my tylko jedni. Nikt nas nie rozumie, ciekawie się nam przysłuchują, bo takiej mowy nie słyszeli jeszcze nigdy. Robią wszyscy najlepsze wrażenie, swobodni ale w granicach. Jest pomiędzy nimi ksiądz ze Zgromadzenia św. Ducha, jedzie do Lizbony; młody wychowanek jezuicki jedzie na dalsze studya do Rio de Janeiro;

jedzie z nami młody kupiec, Niemiec ze Szwajcaryi, biedny wciąż narzeka że głodny, choć zje za dziesięciu. Najciekawszy wśród nich to podeszły już człowiek o siwej brodzie, który niemiłosiernie pluje w około, kto mu zbyt rychło nie zejdzie z drogi, tego nielitościwie napiętnuje. Znając go z daleka przed nim uciekamy.

Z pasażerów jedna część jedzie do Rio de Janeiro, inni do Dakar, Montevideo i Buenos-Aires, wszystkim możemy się dobrze przypatrzeć, bo już drugi dzień stoimy na rzece a rozchodzi się pogłoska, że tak stać będziemy do poniedziałku.

Stoimy w zaciszu małej niezamieszkałej wyspy, tak jak kiedyś Nansen, zamknięty zewsząd lodami na dalekiej północy. Od Bordeaux oddaleni jesteśmy 40 kilometrów, przed nami, kędy oko sięga woda, tam ocean atlantycki, z północy przed nami zielona wyspa, widać na niej zamek; za wyspą w dali brzeg, wzdłuż którego rozrzucone są pstre domy jakiejś wioski.

Pod wieczór zupełnie się wypogodziło, słońce zachodzi czerwono na znak pogody, białe mewy gonią za ostatniem pożywieniem na noc i na podobieństwo kąpiących się jaskółek zanurzają się w wodzie, aż wreszcie nikną daleko w zmroku nocy.

Nazajutrz oznajmiono, że maszyna już naprawiona, i okręt o północy ruszy. Cieszymy się tedy, że już jutro zobaczymy pełne morze. O północy obudził nas świst, gwizd i łoskot, znak, że wreszcie jedziemy.

Gdyśmy się w sobotę 6 czerwca obudzili, byliśmy już na otwartem morzu; gdzie spojrzeć tam tylko woda, ale znać, że blisko jeszcze wybrzeże, bo raz po raz przelatuje mewa i nie zatrzymuje się na maszcie, ale dalej pędzi; to znowu w dali żaglowiec albo łódź śmiało pruje spienione fale morskie.

Nie mogę się nasycić przecudnym widokiem, patrzę, jak się piętrzą przez okręt siłą odepchnięte bałwany z szumem w tysiącznych rozpryskując się kaskadach. Każda fala

szumi inaczej, każda inaczej się pieni, a widok ten powtarza się na całem morzu wokoło nas.

Wkrótce jednak choroba morska chwytać się mnie poczęła. Ustawiczne balansowanie wyprowadza z równowagi, okręt kołysze się nieustannie, chwieją się nogi, mdło mi się robi, zdaje mi się, że cały świat ze mną się obraca. Pobledli niektórzy panowie, wiele pań nie przyszło już na obiad. Śmieje się ze mnie student jezuicki, żem pobladł, a tymczasem biedaka do wieczora aż pięć razy zmogło. Ledwo zasiadł do stołu a z biedą zdołał umknąć z refektarza. Zbladł i X. Chylaszek, ale skończyło się na mdłościach, X. superyor, a zwłaszcza braciszek okazał się najsilniejszym.

Około południa powychodziły niektóre panie na pokład, blade i wystraszone co dalej będzie; dzieci najwytrwalsze, wesoło gonią po pokładzie i igrają z sobą jak delfiny, które się przed oczami naszemi w morzu przewracają. Pod wieczór byłem już zupełnie zdrów a później już chodziliśmy po pokładzie jak po lądzie; im więcej się okręt nachyli i zakołysze tem nam przyjemniej.

Jeden tylko statek pokazał się w tym dniu na horyzoncie i znikł. Ujechaliśmy tego dnia 160 mil. Dzień następny, to uroczystość Trójcy Przen., z okienka naszego po przebudzeniu się zobaczyliśmy ląd. Sprawiło nam to wielką radość, ląd na morzu zobaczyć, to miła niespodzianka. Przed nami niskie, potargane skaliste góry nadbrzeżne, podnóża gór Pirenejów, któremi zachwycaliśmy się w Lourdes.

Spostrzegamy na nich małe chaty, widać je coraz wyraźniej, są już tak blisko, że zdaje się dojechalibyśmy do nich za kilka minut. Na morzu pełno żaglowców, łodzie dojeżdżają prawie do samego okrętu, widać w nich rubasznych i opalonych Hiszpanów, obok nich wieśniaczki, przypominające w stroju wieśniaczki nasze z okolic Mydlnik i Bronowic.

Wybrzeże zamienia się w śliczną panoramę; góry coraz wyższe, na stokach ich lasy i uprawne role, a domki rozrzucone wśród nich jak stado białych mew na brzegu morskiem.

O godzinie drugiej zajeżdżamy do miasta hiszpańskiego Vigo i tu w porcie zatrzymuje się okręt kilka godzin. Miasto położone malowniczo na wzgórzu, ma szerokie ulice, wysokie murowane domy, duży kościół, znać stary już, bo przypomina średnie wieki. W porcie uwija się wiele łodzi, obok nas duży okręt angielski, jadący do Ameryki.

Mnóstwo pasażerów wsiada na okręt, przeważnie robotnicy, wybierający się za morze szukać chleba. Aż żal się robi patrzeć na te wybladłe i wychudłe twarze.

Ponieważ stoimy daleko od brzegu, dojeżdżają łodzie z towarami do naszego okrętu, targ rozpoczyna się na dobre. Sprzedawają pomarańcze, czereśnie, talerze, wino i rum, robi się krzyk, wrzawa i kłótnia, jak na placu Szczepańskim w Krakowie. Kłócą się ze sobą dwie kobiety hiszpanki tak zapamiętale, że zdaje się, iż rzucą się na siebie, płynie cały szereg wyzwisk i pogróżek, a wokoło morze ciche, lekkie tylko fale igrają, unoszą się nad nami całe stada mew lub w morzu się kąpią. Morze zewsząd zamknięte skalistemi wybrzeżami, wokoło nagie wzgórza, to znowu rzadki las sosnowy, to wioska w dali, tu i tam sterczą z morza nagie, ostro zakończone skały.

Dnia 8 czerwca z rana o godzinie 10 stanęliśmy w Lizbonie, w ujściu szerokiej rzeki Tajo.

Położenie Lizbony romantyczne, widok z morza wspaniały, ale miasto same nic nam się nie podobało. Ma wprawdzie ulice szerokie, domy wspaniałe, wiele pomników i wodotrysków, ale wszystko w innym guście, wszystko pstre, w niesmacznym stylu.

W mieście upał, pełno palm, naokoło domów rosną pelargonie w najrozmaitszych kolorach. Ludzie niełądni, opaleni, niskiego i krępego kształtu, kobiety spotykaliśmy o silnym i wyrazistym zaroście.

Odwiedziliśmy konfratrów w obydwóch domach; jest tu X. Barros-Gomez, kiedyś żonaty, dziś dwie jego córki są Siostrami Miłosierdzia.

Lizbona ma 300.000 mieszkańców. W 1755 r. 8 listo-

pada zniszczona zupełnie przez trzęsienie, które trwogą przejęło cały świat; ale się nie poprawiło, inteligencya obojętna, do kościoła nie chodzi, lud ciemny. Księża noszą się po świecku i w cylindrach, konfratrzy w birecie i bez pasa wychodzą do miasta, bo tylko tak bezpieczni są od zaczepek i publicznej zniewagi.

Od 9 czerwca jesteśmy w drodze do Dakaru na zach. wybrzeżu Afryki. Nazajutrz przejeżdżaliśmy tuż obok skalistych wysp Kanaryjskich, ojczyzny naszych kanarków, sprowadzonych przed 300 laty do Europy.

Słońce coraz więcej przygrzewa, dnie coraz krótsze, w miarę, im bliżej jesteśmy równika, gdzie dzień i noc są równe; słońce zachodzi szybko i odrazu się ciemni. Niebo staje się ciemno-żółte, przechodzi w kolor popielaty, o godzinie wpół do ósmej już ciemno. Dnieć zaczyna przed godziną szóstą i odrazu jasny dzień. Gwiazda polarna coraz wyżej, inne już gwiazdy jaśnieją tu na niebie, niewidzialne u nas.

Wczoraj było Boże Ciało; my na pełnem morzu marzyliśmy o uroczystościach i procesyach krakowskich; jutro rano staniemy na ziemi afrykańskiej.

Dalszy ciąg podróży opiszę i nadeszlę z Ameryki.

X. Dylla.

Kaczyka, dnia 15 czerwca 1903.

Kochany Księże Konfratrze!

Łaska P. naszego Jezusa Chryst. niech zawsze będzie z nami!

Siedm miesięcy upłynęło od chwili, jak dostałem się na Bukowinę. Przez cały ten czas pilnie zastanawiałem się nad charakterem ludu rumuńskiego, badałem jego zwyczaje, a to w tym celu, by się kiedyś podzielić ze spostrzeżeniami, w tym względzie porobionemi, z czytelnikami naszych „Roczników“. Sam wypytywałem się o szczegóły dla mnie niezrozumiałe, ludzi kompetentnych, a wiele pomogło mi do zbadania stosunków rumuńskich dziełko, pożyczone od jednego z księży bukowińskich a zajmujące się specyalnie zwyczajami tego ludu. Sądzę więc, że szanowna Redakcya „Roczników“ przyjmie te wiadomości bądź co bądź interesujące, a zwłaszcza przyszłych pracowników w winnicy Pańskiej na Bukowinie. Opowiem najpierw stosunki rumuńskie a potem wspomnę o misyach.

Rumuni w liczbie 235.000 stanowią prawie jedną trzecią ludności bukowińskiej. Co do zdolności umysłowych to ogólnie biorąc, stoją niżej od Polaków, Rusinów i Niemców; okazuje się to w szkołach ludowych, gdzie wszystkie dzieci razem pobierają naukę. Dzieci rumuńskie są dla nauczycieli w takich szkołach mięszanych kulą u nogi; to też rząd stara się pobudować dla młodzieży rumuńskiej osobne szkoły, lub przynajmniej osobne oddziały. Za to celuje ta młodzież w szkołach zawodowych (Fachschulen), dowodem tego ich wyroby, szczególniej piękne tkaniny.

Wszyscy Rumuni bukowińscy należą z wyjątkiem jednej wioski do wyznania grecko-oryentalnego. Różnią się od nas tem, że nie uznają pochodzenia Ducha św. od Ojca i Syna, nie są w jedności z Rzymem i utrzymują, że kary czyścowe nie mogą dusz oczyścić. Jeżeli prawdą jest to, co tutaj kilka razy słyszałem, to obecnie skłaniają się schyzmatycy więcej niż kiedykolwiek do połączenia się z nami. Daj Boże, aby to jak najprędzej nastąpiło! Nasz ludek wiejski ma liczne zabobony, ale Rumuni mają ich daleko więcej. Zresztą jest to lud pobożny, religijny, jeżeli tak sądzić będziemy po ich zewnętrznych praktykach religijnych, n. p. pokłonach i t. d. Chociaż przywiązani są do swego obrządku, to jednak nasze ceremonie bardziej ich pociągają i gdyby nie popi, łatwo przeszliby na naszą wiarę. Wiara w opatrzność graniczy u nich z fatalizmem; nauczyli się tego, jak się zdaje od Turków, z którymi ich przodkowie mieli styczność. Mówią n. p. „*Ce mi a fi szcris, mi sa si intempla*“, (co mi przeznaczono, to mnie nie minie). W pożyciu z innymi narodami i ze sobą oznaczają się pewną solidarnością i zgodą. Gdy się ich pozdrowi: „*Buna dziona*“ — odpowiadają: „*multum eszc*“ (dziękuję), czego nie znajdujemy u innych narodów. Gdy kogo o co poprosisz, chętnie ci usłuży, trzymając się zasady: „*Dumneden stie si mi va ajuta si mie*“ (Bóg wie o tem, i mnie także pomoże). Natomiast, gdy Rumunowi ktoś dokuczy, mniejsza o to, czy swój, czy obcy, nie łatwo zapomni doznanej krzywdy, posuwa się do dzikiej brutalności i przy najbliższej okazyi wywiera swą zemstę. Wśród zatargów z sąsiadami zamawiają Msze św. u księży katolickich na intencyą „*pentni dusmani*“ za nieprzyjaciół, by pomarli; dopiero trzeba im tłomaczyć, że się tak niegodzi, bo Chrystus Pan zakazał mieć nieprzyjaciół w nienawiści, wtedy dają się udobruchać, odstępują od swego, a gdy się im oznaczy dzień, w którym się odprawi Msza św. na ich intencyę, przychodzą do kościoła, by się naocznie przekonać, czy rzeczywiście w ten dzień za nich się odprawia, wychodzą z kościoła i już są spokojni — niektórzy jednak modlą się gorąco i za-

chowują się przykładnie w czasie całej Mszy św. o czem się sam kilkakrotnie przekonałem. Co się tyczy moralności, dosyć się trzymają, ale gdzie jest dużo karczem żydowskich, tam trudno ich w tym względzie pochwalić. W okolicach górskich widać zwłaszcza w niedziele i święta ku wieczorowi dosyć Don-Jouanów, włóczących się ze swemi wybranemi, a zachowanie ich bardzo razi. Rumuni są bardzo pracowici, tak, że nawet słabe dziecko chce i potrafi być użytecznem dla swych rodziców. Każdy Rumun bardzo jest przywiązany do swego domu ojczystego i stąd rzadko się zdarza, by młodzieniec lub dziewica po wstąpieniu w stan małżeński opuścili swoją wioskę. W rodzinie zajmuje wybitne stanowisko *badita* (najstarszy syn) i *lelita* (najstarsza córka); młodsze rodzeństwo uważa ich za zastępców rodziców i otacza ich wielkim szacunkiem.

Rumuni są przeważnie wzrostu średniego, tylko górale oznaczają się w oczy bijącą wielkością; cera twarzy jest dosyć ciemna a piękne rysy przypominają bardzo typ cygański. Mężczyźni noszą włosy długie, koloru ciemnego a przytem tak wspaniałe, że niejedna dziewczyna z zachodu mogłaby im tego pozazdrościć. Ubiór ich wygląda malowniczo. odrazu przypomina wschód. Mężczyźni noszą białą aż do kolan sięgającą koszulę, o rękawach szerokich i spuszczają ją na spodnie lniane a zimą wełniane, przepasują się rzemieniem lub pasem brunatnym; bogatsi używają jedwabnego. Szyję okrywają chustką jedwabną czarną. Chodzą w krypciach górskich, rzadziej w butach; w zimie używają serdaku i długiego, aż do kolan sięgającego kożucha *(cojac)*, a w lecie szerokiej brunatnej bundy *(suman)*, a w czasie słoty okrywają się jeszcze jasnym płaszczem *(manta)*. Pokrycie głowy stanowi czarny kapelusz *(palerie)*, ozdobiony często srebrnym, na dwa palce szerokim sznurem, a w jesieni i zimie czapka z czarnej lub siwej, rzadziej z białej skóry baraniej *(cusma)*. Często zobaczyć można chłopa, chodzącego 3 tygodnie bez kapelusza a względnie czapki — pewny to znak, że mu żona umarła.

Rumunki przypominają strojem narodowym ubiór turecki. Używają trojakich koszul, różniących się ozdobami i celem używania. Zwyczajne przeznaczone do codziennego użytku przy pracy są bez ozdób i nazywają się *camesoi*. Wychodząc poza dom, przywdziewa Rumunka *camesoi cu pui*, to jest koszulę z wyszywanymi na piersiach i rękawach kwiatami i punkcikami; trzeci rodzaj, przeznaczony na święta i uroczystości narodowe, okazuje bardzo wiele ozdób i okrywa całą rękę. Jako spodnicy używają tak zwanej *cabrinta;* jest to brunatny płat sukna, 2 metry długi, 1 metr szeroki, ozdobiony w poprzek w różnych odstępach kolorową tkaniną; tem się owijają i w biodrach przymocowują pasem na 4 palce szerokim a podobnym do tego, jakiego używają mężczyźni. Ponieważ taki ubiór tamować musi chód, przeto podnosi Rumunka z prawego boku od przodu jego koniec lub zakłada go za pas, co jednakże nie bardzo estetycznie wygląda. W porze zimowej noszą wysokie kamaszki z białego sukna zwane opińcze — wygląda to jakby spodnie — od dołu przymocowują je czarną na 4 palce szeroką taśmą i wdziewają krypcie *(cirivici, papuci);* bogatsze jednak Rumunki noszą pończochy i europejskie kamaszki. W zimie trudno nieraz rozróżnić chłopa od kobiety, ponieważ te także noszą serdak *(peptar)* i *cojac*, tylko że zawijają głowę białą chustą, to jest $1^1/_4$ metra długim a ślicznie tkanym ręcznikiem *(stergar)*, który tak potrafią ułożyć, że każdy kto je widzi po raz pierwszy mówi, że to Turczynki. Mężatki splatają sobie włosy w 1 lub 2 warkocze *(codi)*, okręcają na głowie i przykrywają czerwonym fezem. Niezamężne poznać można po jednym warkoczu, w który wplatają różnokolorowe wstążki *(cradi)* — dziewczynki niedorosłe noszą dwa warkocze. Gdy ktoś w rodzinie umrze, to płeć żeńska, która jeszcze nie wyszła za mąż, nie splata całkiem włosów przez 6 tygodni. Szyję ozdabiają koralami *(margeb)* lub wstążką, na którą zawieszają monety złote lub srebrne *(salba)*, w wartości nieraz kilkuset guldenów. Inteligencya rumuńska nie posiada własnych strojów narodowych i ubiera się tak jak nasza.

Rumuni trudnią się przeważnie uprawą roli, a w górach chodowlą bydła. Kobieta zajmuje się wyrobem ubrania dla wszystkich swych domowników, skąd przysłowie: „*Femeea imbraca casa*“ (niewiasta ubiera dom). Przędą i wyrabiają tkaniny bardzo piękne. O śpiewie ludowym nie dużo mogę powiedzieć, bo rzadko słyszałem Rumunów śpiewających — a przytem ta sama melodya wciąż się powtarza, monotonne aż do znudzenia powtarzane krzyki całkiem mi się nie podobały.

Powszechnie znana jest zabobonność ludu rumuńskiego, to też nieco obszerniej o tem się rozpiszę. Utarło się tu przekonanie, że do dnia trzeciego po narodzeniu się dziecięcia, przychodzą do domu boginie losu *(urditele)* i układają jego przyszłe życie; dlatego też dorosły, gdy go dotknie przykry los, pociesza się: „*Asa mi a post urdita*“ — „Tak mi było przeznaczone“. Podczas tych 3 dni pali się w pokoju całą noc światło przy szczelnie zasłoniętych oknach, boby złe baby lub czarownice mogły nowonarodzone dziecię pozbawić snu i przywieść do ciągłego płaczu *(sa rapete plansori)*. Wodę, w której dziecię kąpano, wylewa się pod największe i najpiękniejsze drzewo, by jeszcze lepiej rosło. Do dalszych kąpieli kładzie się pachnące zioła, aby się szczególnie dziewczęta udały. Gdy matka znowu obejmuje zarząd domu, to, zanim pierwszy raz wyjdzie, kładzie w progu na poprzek miotłę, bo w przeciwnym razie mogłyby złe duchy zaszkodzić dziecięciu na zdrowiu. W chorobie ucieka się matka do przeróżnych lekarstw, potem do popa, następnie do jego zaklęć, a gdy to jeszcze nie pomoże, zamienia imię chrzestne na imię jakiego zwierzęcia lub kwiatka np. *lupul* (wilk), *ursul* (niedźwiedź), *flowree* (kwiat), *garofita* (gwoździk), w tem przekonaniu, że to rzeczywiście pomoże, a gdy się to przypadkiem ziści, wtedy dziecię na zawsze zatrzymuje to imię. Kiedy zaś matka z dziecięciem wychodzi, zawiązuje mu około szyi czerwoną wstążkę dla odpędzenia uroku. Przy ślubie drużbowie i druchny obrzucają parę młodą obchodzącą trzykrotnie stół zaślubin orzechami lub cukierkami, aby im się pomyślnie

wiodło, biada jeżeli wtedy spada wianek — zły to znak na przyszłość. Gdy następnie wychodząc z cerkwi, udaje się pan młody w dom panny młodej, łamią okrągły kołacz na kawałki i rzucają na cztery strony świata z życzeniem, aby się małżonkom wszędzie dobrze powodziło. W każdym nowym domu zamieszkuje wąż, jako duch opiekuńczy, który się tu i ówdzie pokazuje, nie czyniąc jednak nikomu nic złego. Trzeba go oszczędzać, bo w przeciwnym razie nawiedzi dom nieszczęście.

Kiedy ktoś umrze, to po wyniesieniu trumny otwierają krewni okna, by dusza mogła wyjść, jeżeli się jeszsze w domu znajduje — zresztą zrobiony jest na wszelki wypadek w trumnie od strony głowy na boku otwór, by dusza mogła ulecieć przed wpuszczeniem do grobu ciała, gdyż aż do tej chwili nie odchodziła od trupa. Spotykając pogrzeb rumuński dziwiłem się bardzo, dlaczego kładą ręcznik na mostach i dowiedziałem się, że nadto dawają umarłemu do ręki krzyż woskowy i pieniądz pod język, a to w tym celu, by dusza zmarłego w dalekiej drodze do raju używać mogła ręcznika jako pomostu przy przejściu przez rzeki, monety jako opłaty przy powietrznych szlabanach dyabelskich i krzyża do podniesienia szlabanu *(slelp)*. Dosyć to naiwne i śmieszne ale nie koniec na tem. W dzień św. Sylwestra roztapiają dziewczęta ołów i rzucają do wody, chcąc się dowiedzieć jakiego męża dostaną, albo też zawiązują sobie oczy i zaczynają począwszy od którejkolwiek belki obory liczyć do 9-tej i z jej kształtu wnioskują, jaki będzie ich przyszły towarzysz życia.

Chłop rumuński urządza sobie w ten dzień kalendarz pogody i niepogody w sposób następujący: rozkraje cebulę na 12 równych części, posypuje solą i ustawia na piecu od wschodu na zachód. Według tego czy sól stopniała u góry, w środku lub u dołu, poznaje, czy miesiąc będzie słotny lub pogodny. W nocy na nowy rok otwiera się niebo, a zwierzęta domowe rozmawiają między sobą, jakie będą losy domowników w nowym roku — można je wprawdzie rozumieć, ale nikt nie odważa się podsłuchiwać, boby w tym roku za karę umarł.

W wigilię Bożego Narodzenia i Jordanu zachowują ścisły post. Przed południem nikt nie kosztuje potraw postnych, zastawionych na stole; młodzieńcy i dziewczęta szczególniej boją się czegoś naruszyć, albowiem, jak mówią, od tego zależy zdrowie i piękność przyszłego małżonka lub małżonki; zanim zasiędą do stołu, rozsypuje gospodarz domu fasolę, aby mu się szczęściło w chodowli bydła; w dzień zaś Jordana rzuca z łyżki pszenicę do sufitu, aby zebrał dużo miodu. Gdy się ziarno przylepi, uważa to za dobry znak. Kto chce cały rok być zdrowym, ten ma się kąpać, począwszy od niedzieli palmowej, aż do Wielkanocy. Bardzo ważnym jest u nich wielki tydzień. Wierzą oni, że Pan Jezus wstępuje w poniedziałek wielkiej nocy do piekła i wybawia dusze, za któremi się modli kościół schyzmatycki. Szczęśliwi ci, którzy w tym tygodniu, zwłaszcza w pierwszych trzech dniach, umierają, albowiem cały ten tydzień stoi niebo otworem. W piątek (*Santa Vinere*) nie piorą kobiety bielizny, nie szyją, nie przędą; mężczyźni zaś wstrzymują się od wielkiego czwartku aż do Zielonych świąt od wszelkich robót polnych, bojąc się, by w przeciwnym razie grad lub ulewa nie zniszczyła zasiewu. W lecie, mianowicie w południe, zażywają Rumuni spoczynku na polu; w tym też czasie odmawiają sobie Rumuni wszelkich przyjemności, by nie zaszkodzić sobie na zmysłach i zdrowiu, bo wtenczas chodzą żeńskie złe duchy, jakoto: *Savatina* — wściekłość przynosząca, *Margalina* — denerwująca i t. d. W wigilię św. Jerzego, patrona wiosny, kładą wieczorem na słupach płotów i bram trawniki z zatkniętemi rózgami wierzbowemi, na obronę przed złymi duchami i czarownicami. Sobota przed Zielonemi świętami (*Dumineca mare)* jest także dniem, w którym się trzeba mieć na baczności. Wieczorem obiegają bowiem *Rusalii* (żeńskie złe duchy), które psują humor i odbierają apetyt. Można się przed niemi zabezpieczyć, kładąc we dnie na piersi, a w nocy do łóżka piołun.

14 czerwca i 6 lipca obchodzą Rumuni święto narodowe *Sant Jian'a*, albo jak się jeszcze wyrażają: *Jona cel*

nou (Jana nowego). Był to kupiec z Trapezuntu, który poległ w wieku XIV. z ręki tureckiej w Akermanie. Książę mołdawski Aleksander Dobry (1041—1433) kazał jego ciało sprowadzić do Suczawy, wyznaczając na jego cześć święto na 14 czerwca według naszej rachuby. Ponieważ dawniej świątkowali Rumuni aż do św. Jana Chrzciciela (6 lipca), to też i dzisiaj dzień ten uroczyście obchodzą. Na dzień ich św. Jana Suczawskiego przybywają tu bardzo liczne pielgrzymki z całej Bukowiny, a nawet z Galicyi. Nie mogłem zbadać, czy św. Jan nou jest rzeczywiście świętym — być to może, bo Sobieski zabrał go do Żółkwi, lecz później przeniesiono go znowu do Suczawy. Właśnie gdy to piszę (14 czerwca) biją z moździeży i widzę, jak Rumuni noszą ćwiartki piwa na plecach, bo będzie festyn ludowy na wzgórzu, przy drodze do Sołońca. W wigilię tego święta wiją młodzieńcy i dziewczęta wieńce z polnych kwiatów *(Sandene)* i kładą je na wschodniej stronie dachu. Jeżeli rano znajdą w nich włosy zwierzęce, rokują sobie powodzenie w hodowli bydła, jeżeli natrafią na ludzki włos — liczne potomstwo.

W lecie przypadają trzy dni, w których żaden wieśniak nie odważa się wykonywać ciężkich prac: 1. dzień św. Foka (4 sierpnia), by ogień lub piorun nie zniszczył domostwa; 2. dzień św. Maryna (29 lipca), by mu się dzieci przy kąpaniu nie potopiły i 3. w dzień św. Paliei (2 sierpnia), żeby bydło i owce zostały uchronione od chorób i dzikich zwierząt. 26 września (podwyższenie św. Krzyża) zbierają różne zioła lekarskie na wszelkie wypadki; we wigilię św. Andrzeja smarują podwoje drzwi zabudowań czosnkiem, aby odpędzić duchy nieczyste (*Strigele, Mowii)* i wilki, które w tym czasie odwiedzają obory. Św. Mikołaj — patron dobrych dzieci, a zwłaszcza sierót — przynosi podarunki, a biednym dziewczynom rzuca posag do pokoju; wierzą, że gdy zastaje rzeki niezamarznięte, trzęsie brodą i zasklepia je lodem, a gdzie już zastaje lód, to go niszczy, dlatego mówią: „*Santul Niculai isi scutara barda si face pumti, cand nu le gaseste, si le strica cand le afla.*

Na tem kończę moje uwagi co do ludności rumuńskiej. Nie dałem się w całym opisie unieść fantazyi, spisałem tylko to, co albo sam widziałem, albo z wiarygodnych dowiedziałem się źródeł. Żeby sprawdzić wszystkie zabobony, trzebaby przejść całą Bukowinę, bo niektóre są zapewne tylko lokalne i trzebaby mieć większą styczność z Rumunami. Zresztą ci, co kiedyś dłuższy czas niż ja, pracować będą na Bukowinie, będą mieli więcej sposobności zbadać tutejsze stosunki już nie tylko rumuńskie, lecz także ruskie, huculskie, niemieckie, lippowańskie, słowackie i węgierskie, a wtedy będą mieli czytelnicy roczników całkowity obraz Bukowiny pod względem ludności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Paryż, dnia 5 czerwca 1903 r.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

W ubiegłym kwartale zdarzyło się kilka wypadków, z którymi chciałbym się podzielić zapomocą tego listu. I tak:

Dnia 21-go kwietnia, już pod wieczór, przybył do domu macierzystego J. Em. X. kardynał Puzyna, aby złożyć wizytę naszemu Najprz. O. Generałowi. Ujął sobie Jego Eminencya serca tych, którzy go tu widzieli. Wprost wzruszający był widok, gdy przy końcu wizyty nasz O. Generał z całą pokorą ukląkł i prosił J. Eminencyę o błogosławieństwo. Pokora św. Wincentego i cześć Jego dla Przedstawicieli Kościoła doskonale uwydatniła się w godnym jego następcy. Zaraz potem zaprowadziliśmy J. Eminencyę do kościoła, gdzie z polecenia O. Generała, już zastaliśmy otwarty Relikwiarz św. Wincentego. J. Eminencya wszedł na górę i gorąco się pomodlił dobrą chwilę i ucałował drogocenną trumnę. Zszedłszy, wyraził O. Generałowi swój podziw, że z taką czcią przechowujemy ciało św. Wincentego. „To nasz najdroższy skarb“, odpowiedział O. Generał. Na co Eminencya: „O nie! ten skarb w znacznej części też do nas należy“.

Po tej wizycie pojechał jeszcze J. Eminencya na rue du Boc, gdzie widział się z Najprzewielebniejszą Matką Generalną i polecił się opiece N. Panny w kaplicy Objawienia.

Dalej idąc chronologicznie, wspomnę o śmierci X. Wincentego Trockiego. Umarł dnia 25 kwietnia. Nie należał wprawdzie do naszego Zgromadzenia, ale je bardzo kochał. Urodził się w Królestwie, w parafii, rządzonej przez Misyonarzy,

przez nich ochrzczony imieniem św. Wincentego à Paulo, wychowany w seminaryum pod kierunkiem Zgromadzenia — przy końcu życia, rzucony na emigracyę, gdy osiadł w Paryżu jako kapelan zakładu polskiego św. Kazimierza, znowu jedynem jego towarzystwem byli Misyonarze. Corocznie odprawiał w domu macierzystym rekolekcye, należy mu się więc słusznie ta krótka wzmianka. Bardzo był uczynny i miłosierny dla biednych. Pochowany, dla braku funduszu, w zwykłym wspólnym grobie. Garstka emigrantów, i dzieci zakładu św. Kazimierza, Siostry polskie i nas czterech księży polskich, oddaliśmy mu ostatnią przysługę, towarzysząc pogrzebowi. Pożegnaliśmy go polskiem „Wieczne odpoczywanie“ i rzucając garstkę ziemi na jego trumnę. Do łez nas pobudził jeden z emigrantów, który przyniósł ze sobą grudkę ziemi polskiej i łkając, rzucił ją do grobu.

Dnia 4 maja święciliśmy niezwykłą uroczystość. Na odgłos dzwonu zebraliśmy się wszyscy księża domu macierzystego, jak również konfratrzy innych paryskich domów, więc Niemcy, Irlandczycy i udaliśmy się do O. Generała. W imieniu wszystkich złożył życzenia X. Forestier, pierwszy Asystent, winszując Najprz. O. Generałowi 25-letniego jubileuszu i życząc mu wszystkich łask Bożych, zapewniając o przywiązaniu i miłości Zgromadzenia względem Jego Osoby, jako następcy św. Wincentego. W dniu tym bowiem, gdy po śmierci O. Boré, otworzono szkatułkę, przekonano się, że ś. p. O. Generał zamianował X. Fiat Wikaryuszem Generalnym. Zaś dnia 4-go października przypadnie 25-letni jubileusz, jak został wybrany Generałem przez Konwent generalny.

Najprz. O. Generał odpowiedział rozrzewniony, jaką pociechą jest dla niego w ciężkich chwilach ta miłość podwładnych, ta jednomyślność z nim jednej i drugiej rady Zgromadzeń.

Opowiedział z pełną prostotą swe pierwsze chwile, jak nie dosłyszał odczytanego swego nazwiska, i pyta się, kto zamianowany; swą wizytę u X. arcybiskupa Guibert'a, dalej tyle pociech i tyle smutków podczas tych 25 lat! Piękną tę uro-

czystość, pełną prostoty a tak rzewnie przemawiającą do serca, zakończyło udzielone nam błogosławieństwo O. Generała.

W ciągu dnia składali O. Generałowi kolejno życzenia: studenci, bracia i seminarzyści.

Najświeższą zaś wiadomością jest znany wyjazd naszych konfratrów polskich do Brazylii. Przybyli do Paryża 23 maja. Miałem szczęście zaraz tego dnia przedstawić ich O. Generałowi, który z całą miłością ich przywitał, naznaczył dzień następny na dalsze posłuchanie, sam ofiarował im podróż do Lourdes, Dax i do Berceau de St. Vincent, jednem słowem, mogli się przekonać, jak O. Generał kocha naszą prowincyę i jak przychylny jest jej rozwojowi. Bawili tu w Paryżu dni trzy, poczem udali się w dalszą drogę, a 3 czerwca z Bordeaux pojechali do Brazylii.

Proszę Przewielebnego X. Wizytatora przyjąć kilka tych wiadomości i wyrazy mego szacunku.

W miłości P. Jezusa i J. N. M. Przew. X. Wizytatora
oddany sługa

X. Jan Dihm
n. k. z. m.

List Siostry Giersberg, wizytatorki Sióstr Miłosierdzia, do Najprzewielebniejszej Matki Kieffer.

Chełmno, dnia 9 września 1902.

Najprzewielebniejsza Matko!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Każdy Twój list, pełen miłości macierzyńskiej, jest dla mnie prawdziwą zachętą; nic też dziwnego, że odbieram je z uczuciem dziecięcej wdzięczności. Wiedząc zaś o tem, że chwile obecne, to chwile utrapień i trosk dla Ciebie, podwajamy naszą gorliwość i modlimy się za ukochane obydwie rodziny św. Wincentego i za wszystkie wogóle zgromadzenia, tak boleśnie we Francyi doświadczane.

Chcę Ci donieść, Najprzewielebniejsza Matko, o pewnym wypadku, który zapowiada dla biednej naszej prowincyi lepsze widoki na przyszłość. Miesiąc temu otrzymała droga nasza Siostra Sumińska urzędowe zawiadomienie, że cesarzowa, będąc w Poznaniu, zaszczyci szpital powszechny swą wizytą. Wiadomość ta była dla nas miłą niespodzianką, bo wizyta taka, to pewno wielka łaska. X. biskup sufragan Likowski, zawsze oddany Zgromadzeniu, dał mi znać, że powinnam przybyć do Poznania, aby przyjąć cesarzową. Udałam się więc tam na kilka dni przed wizytą, zapowiedzianą na 4-go września.

Cały dom był pokryty girlandami i chorągwiami. X. arcybiskup Stablewski i jego sufragan przybyli także do szpitala, aby tem uroczystsze było przyjęcie. Kilkaset ludzi zgromadziło się przed domem, oczekując przyjścia zacnego gościa.

Wreszcie o godzinie pół do 5-tej pokazuje się kareta cesarska, a na jej widok schyla się cały tłum z wielkiem uszanowaniem. Obydwie, Siostra Sumińska i ja, miałyśmy zaszczyt przyjąć cesarzową w chwili, gdy zstępowała z karety. Przy wejściu do domu rozległ się śpiew, przygotowany na tę okoliczność. W sali przyjęć powitał cesarzową nasz najdostojniejszy arcybiskup i załączył w ciągu przemowy kilka słów o miłosierdziu dla ubogich i chorych, najpiękniejszej cnocie Pani i Władczyni. Cesarzowa podziękowała mu z całego serca i chciała potem iść zobaczyć chorych.

Mistrz dworu już przedtem prosił nas, abyśmy o ile możności zaoszczędziły cesarzowej chodzenia po schodach z powodu jej zdrowia, to też zgromadziłyśmy w ogrodzie tych chorych, którzy mogli zejść; jedni leżeli w małych wózkach, inni siedzieli we fotelach, a wreszcie inni przechadzali się po galeryach. Cesarzowa była pełna dobroci względem chorych; każdego pytała się, skąd pochodzi, czy już długo chory i t. d. i ściskała mu ręce; jeżeli ktoś nie umiał mówić po niemiecku, prosiła nas, abyśmy jej służyły za tłumaczów. Potem odwiedziła naszą kaplicę, a przy wyjściu z niej wyraziła życzenie odwiedzenia części domu, zajętej przez Siostry. Zaprowadziłyśmy ją do izby Zgromadzenia i refektarza. Zachwycała się prostotą umeblowania i czystością, jaka tam panowała. Ja i Siostra Sumińska byłyśmy zawsze z nią, a odpowiadając na jej liczne zapytania co do naszych dzieł, miałam nieraz sposobność powiedzieć jej niejedno o naszem Zgromadzeniu. Gdy się dowiedziała, że przybyłam umyślnie z Chełmna, aby jej złożyć uszanowanie w imieniu całego Zgromadzenia, uścisnęła mi serdecznie rękę, wyrażając przytem swoje zadowolenie. Pod koniec wizyty wyraziłam jej największą naszą wdzięczność za zaszczytne odwiedziny naszego szpitala, na to uścisnęła mi znowu cesarzowa rękę, mówiła ze mną z wielką uprzejmością i poleciła mi pozdrowić wszystkie Siostry domu głównego.

Gdy już opuszczała szpital i przechodziła korytarzem, gdzie się zebrały Siostry aż do bramy, wychodzącej na mia-

sto, uścisnęła cesarzowa każdej rękę, wymieniając przytem kilka uprzejmych słów. X. arcybiskup pożegnał cesarzową u progu. Na jego słowa cesarzowa odpowiedziała rozczulonym głosem: „Mój drogi i czcigodny arcybiskupie, dziękuję ci, że przybyłeś tu na moje spotkanie, mimo twych cierpień; w podwójny sposób cenię sobie twoją tu obecność i pragnę gorąco, aby X. arcybiskup odzyskał jak najprędzej zdrowie“! X. biskup sufragan, siostra Sumińska i ja odprowadziliśmy ją aż do karety; publiczność, znajdująca się ciągle przed domem, pozdrowiła znowu cesarzową głębokim ukłonem, tak, jak na początku.

Wizyta cesarzowej zrobiła na nas przyjemne wrażenie i dała nam rękojmię większej swobody na przyszłość. Życzliwość, jaką nam okazała, a zarazem zabiegi, jakieśmy same łożyły, aby jej wyrazić wdzięczność za doznane względy, rozproszą, zdaniem mojem, niesłuszne uprzedzenia w umysłach miejscowych władz. Może teraz zrozumieją, że Siostry Miłosierdzia, służąc Bogu w osobie ubogich w każdym kraju, nie zapominają nigdy o tem, żeby oddać cesarzowi, co jest cesarskiego, i że są szczęśliwe, jeżeli mogą przy sposobności objawić te uczucia.

Polecając, Najprzew. Matko, biedną naszą prowincyę Twym modłom u stóp tabernakulum, zostaję w miłości Pana naszego i Matki Jego Niepokalanej, Twoją najpokorniejszą sługą, najwdzięczniejszą i najposłuszniejszą córką.

Siostra Giersberg.

KRONIKA.

Kleparz. Dnia 28 kwietnia przeniósł się X. Cz. Lewandowski ze Stradomia na Kleparz i objął urząd przełożonego po X. B. Bayerze, który na czele wyprawy amerykańskiej wyjechał do Brazylii dnia 19 maja b. r. W tym czasie od 3—7 maja dawał rekolekcye dla sług w Wadowicach X. Hugo Dyla, zaproszony przez tamtejszego X. proboszcza.

X. Siemaszko dawał rekolekcye Siostrom Miłosierdzia na Kleparzu od 21—30 maja.

Piękna i rzewna ceremonia pierwszej komunii świętej odbyła się w niedzielę 24 maja w kościele św. Floryana na Kleparzu. Uczestniczyło w niej do 40 chłopców, których u nas nasi klerycy z Kleparza i ze Stradomia katechizują. Wspólne tradycyjne śniadanie i podarunki dopełniały szczęścia owych biednych dzieci.

Najważniejszem zdarzeniem w ostatnim kwartale, o którem na innem miejscu jest mowa, był wyjazd naszych konfratrów do Ameryki południowej. Po wielu przeszkodach i trudnościach nasi konfratrzy X. Bolesław Bayer superyor, X. Hugo Dyla, X. Chylaszek Franciszek i br. Aleksander Węgrzyn wyruszyli wreszcie do Brazylii dnia 19 maja, żegnani przez reprezentantów wszystkich trzech domów krakowskich. Tegoż samego dnia i w tym czasie jechały i SS. Felicyanki z Krakowa do Bośni do osadników polskich, tamże porozrzucanych.

O obchodzie 25-letnim Małego Seminaryum jest powyżej obszerniejsze sprawozdanie.

Europa, Włochy, Neapol. X. Jan Morino, wizytator prowincyi neapolitańskiej, opisuje w liście do Najprzewielebniejszego O. Generała prace tamtejszych konfratrów z roku 1902, jak następuje:

„Misye wydają u nas zbawienne owoce. Największe jednak, jak się zdaje, owoce wydają prace nasze około duchowieństwa świeckiego. W roku ubiegłym, oprócz konferencyi, wygłaszanych co niedziela do duchowieństwa świeckiego, gromadzącego się u nas z całego Neapolu w liczbie przeszło stu osób, mieliśmy 25 seryi rekolekcyi, wliczając w to rekolekcye dla ordynandów. W listopadzie dawaliśmy troje rekolekcyi dla kapłanów, przybyłych do nas z dyecezyi: Santa Agata dei Goti, Sora, Aquino, Pontecorvo, Ariano, Nala i Acerra. Księży zebrało się u nas przeszło po stu za każdym razem, a wraz z nimi ich biskupi. Biskupi ci i kapłani wielką i serdeczną okazywali nam wdzięczność".

„Dnia 27-go listopada, w uroczystość objawienia Cudownego Medalu, wszyscy kapłani i dwaj biskupi z Noli i Acerry, odmówiwszy wspólnie w kościele cząstkę różańca, przyjęli z rąk misyonarza Cudowny Medalik. Skupienie ich, szczera pobożność zbudowały i rozrzewniły wiernych, tłumnie nagromadzonych w kościele".

Hiszpania. Zgromadzenie misyi w Hiszpanii zostało podzielone na dwie prowincye z domami centralnymi w Madrycie i Barcelonie. Nowa prowincya Barcelony obejmuje domy w Barcelonie, Bellpuig i w Figueras, w prowincyi Katalonii, tudzież dom w mieście Palma, na Majorce, jednej z wysp Balearskich. Wizytatorem tej prowincyi jest X. Jan Jaume.

Austrya. Otwarcie schroniska „Clementinum" w Trotzenbach, blizko Kirchstetten, przynależnego do zakładu nieuleczalnych we Wiedniu, dla chorych na epilepsyę i raka.

„Poświęcenie schroniska, pisze Siostra Küpper, przełożona przy szpitalu nieuleczalnych we Wiedniu, miało miejsce w przeddzień miesiąca Maryi, w oktawie uroczystości Przeniesienia Relikwii św. Wincentego. Arcyksiężna Marya Józefa, która niedawno objęła protektorat nad zakładem, wzięła udział

wraz ze swą świtą w uroczystości. Po Mszy św., którą odprawił X. prałat Zsowodka w małej kapliczce, poświęconej św. Józefowi, obecni wysłuchali okolicznościowej przemowy, poczem dokonano poświęcenia całego gmachu.

„Arcyksiężna zwiedziła cały zakład. Wzięli nadto udział prezydent miasta Lueger, przedstawiciel rządu, kilku proboszczy z sąsiedztwa, tudzież X. wizytator Binner".

Stradom. Dnia 5-go lipca b. r. otrzymali z rąk Najprzew. X. biskupa Nowaka święcenia kapłańskie: Józef Janowski, Jakób Wrzeciono, Sylwester Kandora, Ludwik Bronny, Paweł Knappek, Wilhelm Szymbor, Konstanty Michalski, Wilhelm Michalski, Józef Zieliński, Rudolf Steinsdorfer, Antoni Mazurkiewicz.

ZMARLI:

X. Wincenty Arnais, 6 stycznia 1903, w Meksyku (Ameryka środkowa), żył lat 25, w Zgrom. 6.

X. Henryk Dawid, 31 stycznia 1903, w St. Luis (Stany Zjednoczone), żył lat 70, w Zgrom. 45.

Brat Fryderyk Peart, 23 lutego 1903, w Dublinie (Irlandya), żył lat 60, w Zgrom. 22.

X. Juliusz Bartos, 1 lutego 1903, w Diamantinie (Brazylia), żył lat 31, w Zgrom. 11.

X. Alfons Morion, 1 marca 1903, w domu macierzyńskim, żył lat 74, w Zgrom. 54.

Brat Józef Corcione, 20 lutego 1903, w St. Nicolas (Neapol), żył lat 90, w Zgrom. 71.

X. Tobiasz Clonn, 10 marca 1903, w Aleksandryi (Syrya), żył lat 55, w Zgrom. 23.

Ks. Jan Esandié, 6 kwietnia 1903, w Valfleury (Lyon), żył lat 80, w Zgrom. 60.

Kleryk Ildefons Bréant, 9 kwietnia 1903, w Paryżu, żył lat 23, w Zgrom. 4.

X. Franciszek Lubej, 7 kwietnia 1903, w Gracu (Austrya), żył lat 65, w Zgrom. 43.

Brat Antoni Pire, 12 kwietnia 1903, w Gracu (Austrya), żył lat 30, w Zgrom. 5.

Brat Otton Einfalt, 15 kwietnia 1903, w Gracu (Austrya), żył lat 30, w Zgrom. 4.

X. Ludwik Cocqueret, 23 kwietnia 1903, w Teppe (Lyon), żył lat 64, w Zgrom. 44.

X. Bartłomiej Ly, w kwietniu 1903, w Chinach, żył lat 67, w Zgrom. 40.

Brat Piotr Destaing, 9 maja 1903, w domu macierzyńskim (Francya), żył lat 80, w Zgrom. 46.

Brat Józef Kresnik, 20 maja 1903, w Cillei (Austrya), żył lat 52, w Zgrom. 24.

Kleryk Franciszek Frece, 23 maja 1903, w Gracu (Austrya), żył lat 23, w Zgrom. 4.

Kleryk Gustave Hellrigt, 27 maja 1903, w Quitto (Equador), żył lat 23, w Zgrom. 6.

X. Jan Variéras, 17 czerwca 1903, w Dax (Aquitania), żył lat 65, w Zgrom. 44.

R. I. P.

Dobre książki do nabycia u XX. Misyonarzy.

1) X. K. Gawroński: **Jasny i gruntowny wykład nauki Kościoła św.**, opr. 2·50 Kor. (Mk.).
2) Tegoż: **Historya święta**, 2 tomy razem oprawne 2·80 Kor. (Mk.).
3) X. Ludwik z Grenady: **Przewodnik grzeszników**, opr. 3·20 Kor. (Mk.).
4) X. Mioduszewski: **Śpiewnik kościelny** ze wszystkimi dod. 8 K. (Mk.).
5) Tegoż: **Kantyczka** 1·10 Kor. (Mk.).
6) **Pastorałki i kolędy** z nutami, opr. 2 Kor. (Mk.).
7) **Wiadomość o 3 Szkaplerzach** i krótkie nabożeństwo 20 hal. (fen.).
8) **Nowenna za dusze w Czyścu** 30 hal. (fen.).
9) **Officium za zmarłych** 20 hal. (fen.).
10) **Opis koronki za zmarłych** 10 hal. (fen.).
11) **O naśladowaniu J. Chrystusa**, br. 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.).
12) **O naśladowaniu Najśw. P. M.**, opr. 60 hal. (fen.).
13) **Nowenna do św. Wincentego à Paulo** 30 hal. (fen.).
14) **Maksymy św. Wincentego na każdy dzień roku** 30 hal. (fen.).
15) **Nowenna do św. Tekli** 30 h. (fen.).
16) **Adoracye N. Sakr.** opr. 1 Kor. (Mk.).
17) **Nowenny do Najśw. Panny M.**, opr. 1 Kor. (Mk.).
18) S. Kat. Emmerich: **Bolesna Męka Zbawiciela naszego** 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.).
19) Tejże: **Życie Najśw. Panny**, opr. 1 Kor. (Mk.).
20) **O Dzieciątku Jezus w Pradze** 20 hal. (fen.).
21) **O jedności Kościoła** 2 Kor. (Mk.).
22) **Pacierz codzienny** 10 h. (fen.).
23) **Zegarek Męki Pańskiej** 10 hal. (fen.).
24) **Ofiarowanie Męki P. za zmarłych** 10 hal. (fen.).
25) **Śpiewniczek** mniejszy 60 hal. (fen.).
26) „ większy 1 Kor. (Mk.).

27) X. Dr. Collet: **Rozmyślania rekolekcyjne**, opr. 1·40 Kor. (fen.).
28) **Pamiątka rekolekcyi** większa opr. 30 hal. (fen.).
29) „ „ mniejsza 10 hal. (fen.).
30) **Dusza przy żłóbku Chrystusa**, br. 30 hal. (fen.), opr. 40 hal. (fen.).
31) **Skarb ukryty**, opr. 80 hal. (fen.).
32) **Manualik Dzieci Maryi** po 1·60, 2 i 3 Kor. (Mk.).
33) Św. Franciszek Sal.: **Droga do życia pob.**, brosz. 1 Kor. (M.), opr. 1·50 K. (M.).
34) **Błog. Franciszek Reg. Klet** 1 Kor. (Mk.)
35) **Obrazki** z życiorysem tegoż 100 3 K. (Mk.).
36) **Żywot św. Jana Kańtego**, opr. 1 Kor. (Mk.).
37) Miesiące: **Styczeń**, 38) **Marzec**, 39) **Czerwiec**, 40) **Październik**, opr. po 1 K. (Mk.). 41) **Maj** 80 h. (fen.).
42) **Nabożeństwo do Niep. Serca Maryi**, br. 30, opr. 40 hal. (fen.).
43) **Książeczka misyjna** 1 Kor. (Mk.).
44) **Książki do nab. z odpustami** po 1·60, 2 i 3 K. (Mk.).
45) **O medalu św. Benedykta** 10 h. (fen.).
46) **Listki kółek żywego różańca** po 20 hal. (fen.).
47) **Cantionale Ecclesiasticum**, opr. 5 Kor.
48) **Rituale Sacramentorum** 7 Kor.
49) **Konferencye** X. F. Gawrońskiego 2·50 Kor.
50) **Nieszpory łać.** i polskie 100 sztuk 7 K. (Mk.)
51) **Obrazy N. Oblicza P. J.** na płótnie większe i mniejsze, **Dzwonki Loretańskie** i **Okowy św. Piotra**.
52) **Nowa pieśń o N. P. Lourdeńskiej**, z melodyą 10 hal. (fen.).

W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.